Nr. 14. 5. Czerwca 1860.

Wychodzi we Lwowie w dwóch arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. 2½ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. 4½ zł., kwart. 2¼ zł., miesięczn. 75 ct. w.a.

KÓŁKO RODZINNE

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. 157¼.

TOWARZYSTWO NAUKOWE KRAKOWSKIE.

I.

Piastów i Jagiellonów puścizna.

Ojczyzna upadająca przysypała gruzami wszystkie instytucye publiczne, cechujące życie narodu. Zamilkły sejmy, i prawodawstwo narodowe zostało zamknięte pieczęcią tą samą, którą obwarowano grób ojczyzny jak niegdyś grób Chrystusa. Nieodrodnym też synem Zbawiciela był i jest ten naród, który oswobodził inne by stracić własną swobodę.

Zamilkły tedy sejmy i prawodawstwo obwarowano pieczęcią, a tak jedna wielka puścizna, której węgły założył Kazimierz W. czeka dnia wielkiego.

W grobach legli bohaterowie i nikt nie podjął po nich buławy wiodącej tylko do zwycięztw, póki nią władały serca zewnętrznie pokryte stalą hartowną, a wewnętrznie pałające ogniem miłości nie ambicyi, dumne z poświęceń a nie z świeckich zaszczytów.

Kościół się ostał, ołtarze i groby, mowa jako skarg narzędzie, i szkoła krakowska z nazwy jeszcze jagiellońska.

Szkoła jagiellońska to jedyna jeszcze puścizna, nie zamknięta pieczęcią nagrobną, chociaż postradała purpurę i berło. Purpurę i berło mówię, bo królowie byli jej piastunami, a ona królewską piastunką nauki i władczynią niegdyś oświaty nad całą nieledwie Europą. Wszakże z niej wyszedł ten, który, drugi Jozue, słońcu stać kazał. Wszakże ona przemawiała poważnie w soborach, gdzie się ważyły i rozstrzygały losy całego katolickiego kościoła. Wszakże ona wyznaczała królewiczom nauczycielów, a krwi królewskiej książęta liczyła w rzędzie swoich nauczycieli. Jej uczniów i nauczycieli przywdziewał kościół purpurą, jej uczniowie i nauczyciele dzierżyli prymasowskie pastorały, kanclerskie pieczęcie, hetmańskie buławy, z niej wyrastali mężowie do korony.

Zostało ciało tej królowy nauk, ciało nie martwe ale omdlałe — bo gdzież jest dawny jej duch? Gdzie jest Stanisław, który wskrzesi tego Piotrowina, by świadczył o dawnem dziedzictwie?

W mężnym duchu króla, który założył podwaliny prawodawstwa polskiego, poczęła się myśl założenia tej świątyni nauk. Wnuka tego króla, która nauczyła Polki poświęcać najdroższy klejnot duszy — miłość — dla dobra narodu, nauczyła Polskę poświęcać ziemskie skarby wykonaniu wielkich pomysłów.

Dziejopisarze donoszą, że Jadwiga zastawiła klejnoty swoje na założenie akademii krakowskiej. Jagiełło odzierzywszy po królowej najświętsze i największe skarby duchowe: wiarę chrześciańską i ojczyznę polską, nie skalał swej ręki świętokradztwem, i oddał jej ziemskie dziedzictwo na utworzenie skarbnicy oświaty. Jagiełło przedał klejnoty zastawione przez Jadwigę na założenie akademii krakowskiej, a przezto zachował on najświetniejszy klejnot oddany w zakład całemu narodowi, a nigdy niezbyty: miłość ojczyzny. Akademia krakowska była żywym zakładem miłości ojczyzny danym narodowi przez Kazimierza W. Jadwigę i Jagiełłę.

Świetne też owoce przyniósł ten akt poświęcenia. Miłość niewieścia Jadwigi i jej poświęcenie dla dobra narodu natchnęły poetów do przelania wielkich walk serca w formy dramatyczne. Ale dzieje założenia akademii krakowskiej i dalsze jej koleje, ściśle z losami narodu połączone, są same za siebie świetną epopeją.

Jakże wielkie i poruszające są chwile pierwszego jej założenia, jak żywo przejmuje serca to gorliwe zajęcie się króla, obcego naukom, wykonaniem zamiarów świątobliwej małżonki i jej wielkiego dziada, dla utworzenia narodowi skarbów, w których sam niemiał udziału! Jakiż pełen życia obraz przedstawia dalszy wzrost tej akademii: to pielgrzymowanie uczniów tysiącami z obcych krain odległej północy i bliższych plemiennem pokrewieństwem, równie jak przestrzenią krain południowego wschodu; to powoływanie mistrzów akademii do godzenia sporów między królami; to podnoszenie głosu na soborach w Konstancyi i Bazylei, i wszelki udział tej mniejszej rzeczypospolitej nauk wśród wielkiej rzeczypospolitej Narodu, w sprawach nietylko własnego Narodu, ale całej Europy!

Jakże tragiczny nareszcie stopniowy jej upadek. Wielka burza reformacyi której akademia dzielny opór stawiała, wstrzęsła tym gmachem z jednej strony; wielki nawał bisurmaństwa, który znowu cały naród tak dzielnie odpierał, wstrząsł nim z drugiej. Tysiące uczniów Akademii rozpierzchły się, powstawały obok niej w kraju i za krajem inne szkoły, inne akademie, zatrzęsły się posady Ojczyzny, gruzami i grobami zaległa ziemia ojczysta, głuchym płaczem jęczały mury Wawelu *); a ta piastunka nauk pozostała na dawnym tronie sławy swojej, jak owi senatorowie rzymscy wśród Galów napadu na swoich krzesłach kurulskich; pozo-

*) Według tradycyi ludu krakowskiego słychać zawsze jęk podziemny w zamku krakowskim, gdy krajowi wielkie nieszczęście zagrażają.

stała opuszczona i osowiała lecz nigdy nie obalona. Krzepiła ona nieraz upadającego ducha ludu, przodkując to modlitwą to nauką. Targano się na nią nieraz, lecz nieśmiał jej zburzyć żaden świętokradzca.

Tak przetrwała szkoła krakowska upadek Ojczyzny, przetrwała rozpaczliwe walki konającego wieku i bolesne poczęcie się nowej ery w dziejach ludzkiego rodzaju. I stał ten omszony pomnik starej chwały, a w okół niego pełzały pasożyty, bujała plugawa roślinność na zgliszczach i grobowcach. Cień jej dawnej świetności patrzył na powstanie trzeciej mogiły obok tysiącletnich siostrzyc, w których cieniu powstała i jaśniała kiedyś owa *alma mater* nauki polskiej.

Zaczęła już wtedy się krzewić pod jej opieką nowa latorośl, przyszła piastunka naukowości polskiej a mniemana dziedziczka jej świetności: towarzystwo naukowe, które według pierwszego założenia miało być akademią umiejętności. Lecz nie wprost z Jagiellońskiej szkoły przeniosło się dziedzictwo naukowości do tej młodej latorośli. Biły wtedy jeszcze ostatnie promienie zachodzącej gwiazdy, która na czas nie długi skupiała w sobie światło narodowe.

Towarzystwo krakowskie miało nietylko odziedziczyć zapomnianą niemal puściznę Piastów i Jagiellonów, lecz oraz niemniej smutną bo jaśniejącą wśród nieszczęść i zawodów Ojczyzny puściznę towarzystwa warszawskiego.

Wypada nam poświęcić słowo pamięci niemal już pogrobowemu dziedzicowi umysłowej wielkości Polski, lecz zbladłaby wymowa nasza w obec żywej jeszcze pamięci przymówienia, którem uczcił upadek warszawskiego Towarzystwa dostojny starzec-poeta, a niedawno jeszcze prezes towarzystwa krakowskiego, Franciszek Wężyk.

„Gdy w końcu ubiegłego stólecia, mówił kasztelan-prezes, zapadł wyrok zagłady na cały Naród, całą wielo-milionową rodzinę; gdy młodzież nasza strzaskane miecze przekuć musiała na lemiesze i radła; gdy osiwiali w usługach kraju starcowie kryli swą rozpacz w kąty domowe: kilku gorliwych mężów zabrało się do uratowania ostatniej przodków puścizny— języka. — Przyzwoliła im władza, a Bóg pobłogosławił czystym zamiarom. Ten jest początek Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie. Byłem wtenczas poświęconym naukom młodzianem. Na każde posiedzenie publiczne biegliśmy wszyscy, — a gdy się ozwał głos jędrny Albertrandego, poważnego przewodnika Towarzystwa i sędziwego Biskupa: gdy pełen nauki i żarliwości Czacki przemawiał — gdy niezbyt dawny pasterz tutejszej Chrystusowej owczarni, Woronicz, dostroił swą lutnię do dźwięków Jeremiasza proroka i wybrzmiał na niej pieśń wielką o sławie przodków — wszyscyśmy płakali. Alež ci, co Towarzystwo Warszawskie złożyli, bylito męże wielkiego poświęcenia i wielkiej zasługi: Chreptowicz, Potoccy, obaj Śniadeccy, Osińscy, Poczobut, Jundziłł, Ossoliński, Krajewski, Skrzetuski, Kopczyński, Kołłątaj, Dmochowski, Karpiński i Julian Ursyn, to są nasze do dziś dnia zaszczyty. Mógłżebym pominąć tę jędną z najwydatniejszych tego towarzystwa postaci, Staszyca?— To posąg z różnorodnego kruszcu — ale od razu odlany: dziejopis i ściągający najdrobniejsze wiadomości statystyk — geolog i poeta — ekonomista publiczny i filantrop — i dróg budownik i twórca górnictwa! Oszczędny aż do skrzętności i zapomnienia o sobie — grosz do grosza gromadził, by z czasem miliony na użytek publiczny poświęcić. On zakupywał włości i osadzonych w nich włościan usamowalniał. On przepłacał domy i wznosił gmachy, a urządzone, różnym zakładom rozdawał. Kiedy po zgonie Albertrandego Towarzystwo Przyjaciół Nauk swym go Prezesem obrało — gdy uznał, że darowany poprzednio przybytek jest już za szczupły, podniósł swym kosztem gmach okazalszy i przed nim posąg największego nauką ziomka (Kopernika) umieścił. I ten mąż tak zasłużony i wielki spoczywa dotąd na bielańskiej pustyni pod skromnym z darni ojczystym pomnikiem. Z jakich prac zasłynęło Towarzystwo Przyjaciół Nauk Warszawskie, o tem poświadczą rozdrukowane Roczniki. Ale ci męże, którzy je założyli, ci nawet których z czasem do następstwa i udziału pracy przyzwano, zdali już sprawę z swych czynów przed Bogiem. Rzucam garść kwiecia na ich mogiły, ja z tego grona niedobitek bez mała ostatni. Polegli wszyscy przy ostatnim wyłomie. — Było ich przeszło czterysta. — Legli bezdzietnie, bo Towarzystwo warszawskie po trzydziestoletniem istnieniu spotkała cierniowa korona. Niedosyć: spotkała jeszcze zniewaga. Lecz gdyby do niej była pobudka, wyrok stałby się zbytecznym. Nikczemność a samobójstwo to jedno“.

Cierniowa korona, to los wszelkiej wielkości, a w naszym narodzie wszelkich poświęceń. I my rzućmy garść kwiecia na mogiłę tej piastunki naukowości, co legła bezdzietnie lecz nie bez dziedziców. Tymi dziedzicami winny być dzisiejsze Towarzystwa naukowe polskie, a przedewszystkiem Towarzystwo krakowskie, któremu przekazana jest duchowa puścizna Piastów i Jagiełłów, bez ziemskiego jednakże posagu.

(*D. c. n.*)

ŻYDOWSCY.

KRONIKA RODZINNA

spisana przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

(Ciąg dalszy).

Od roku 1852....

Zakupienie Grodowisk zmieniło stan majątkowy Krzesława nagle i prawie do niepoznania. Odebrawszy po rodzicach wedle pojęć rzetelnych pomierny tylko

na Grodowiskach posażek, z którego uczciwą pracą mógł sobie wyrobić przyzwoity szlachecki kawałek chleba; stał się teraz panem majątku, który wprawdzie nie był fortuną pańską, ale który już przez samą obszerność swoją miał w okolicy trochę więcej niż zwykłe znaczenie. Po dostąpieniu takiego szczęścia, aczkolwiek to szczęście było po prostu haniebnym występkiem, należało-by się przecież po nim spodziewać, iż już na tem przestanie, zacznie gospodarować uczciwie, ustatkuje się także moralnie — a tak może z czasem choć w części naprawi to, co nabroił za młodu. Miał on już wprawdzie bardzo ciężkie grzechy na sobie; ale był jeszcze bardzo młodym: a człowiek jest tak litościwie od Pana Boga stworzonym, że nawet jeszcze przed grobem nie jest mu odebraną możność poprawy. Ale dla Krzesława nie była podobną żadna poprawa: — z dwóch mianowicie powodów. Raz dlatego, iż wedle swych pojęć nie powinien on był na żaden sposób przy Grodowiskach pozostać, bo w takim razie mógł-by był z swoim bratem przyjść zawsze jeszcze do nieporozumień z powodu majątkowego podziału; a powtóre dlatego, iż człowiek, który raz w sobie rozbudził chciwość zysku, bałwochwalstwo dla złota, jest nienasyconym jak morze i nigdy już nie dostąpi w tem życiu spokoju. Tak było także z Krzesławem. Pomimo zakupna Grodowisk nie uspokoił on się bynajmniej. Owszem przeciwnie, jeszcze daleko śmielej i chciwiej rzucał się na najrozmaitsze przedsiębiorstwa, niż dawniej. Wciąż jakieś liwerunki przedsiębrał, budował drogi, stawił mosty, zaopatrywał szpitale, handlował wołmi, końmi, owcami, zbożem i mąką, gorzałką i drzewem, — i poniewierał się pomiędzy takiem hultajstwem, pomiędzy taką plugawą czeredą szachrajów, jakiego żaden z jego ojców byłby się gołą ręką nie dotknął. Prócz tego, zaopatrzony już teraz w większe fundusze, czy w większy kredyt, co w handlu wychodzi na jedno, zaczął się rzucać i na przedsiębiorstwa cokolwiek większe. Zaczął się kręcić pomiędzy wioski, nabywać długi, pretensye, processy, zaczął jeździć na licytacye, gdzie wsie sprzedawano, składał wadya, licytował i brał odstępne. Najbrudniejsza-to spekulacya! — ale zaprawdę, że nie wszyscy na to zważali, a swego czasu kalali się nią nawet ludzie tacy, którzy-by powinni być wzorem dla całego narodu. Krzesław nie chciał być wzorem — i nypał wszędzie, gdzie tylko były jakiekolwiek widoki zysku. Włóczył się też podtenczas ustawicznie po kraju, po miastach i dworach, wchodził w towarzystwa, i tam czegoś szukał. Widziano to i powiadano o nim, że szuka żony. Tak też było w istocie. Krzesław chciał jeszcze jeden potężny zrobić interes i ożenić się z panną posażną. Ale jak jego ś. p. dziad Bernard, który także tak szukał żony po świecie, nie mógł jej znaleźć; tak i on także szukał jej naprożno. I jak tenże sam jego dziad oparł się wreszcie o swoje najbliższe sąsiedztwo; tak i on także odnowił starą a nawet na powinowactwie opartą w Starodziękach znajomość i zaczął tam bywać.

Od pierwszego rozbioru zmieniły się czasy w Grodowiskach: zmieniły się także i w Starodziękach.

Po przezacnym Tobiaszu Wapnowskim, który zmarł jeszcze przed drugim rozbiorem, nastąpił syn jego Tadeusz. Starożytne szlacheckie rodziny w Polsce miały i zachowywały tak swoje tradycye, jak panujące rodziny; mieszkał w nich jakiś duch niby własnego kroju, który przechodząc z ojca na syna, rzadko kiedy się zmieniał. Mieliśmy rodziny przedewszystkiem rycerskie, szukające tylko w szabli zasługi i sławy, jakiemi byli n. p. Potoccy; mieliśmy rodziny zajmujące się przedewszystkiem polityką i dyplomacyą, jakiemi byli n. p. Rzewuscy; mieliśmy rodziny bardzo starożytne, krewniące się bardzo wysoko, służące zawsze z wielkiem poświęceniem ojczyźnie a mimo to nigdy nie łakomiące się na nagrody i dzięki, jakiemi byli n. p. Krasiccy, mieliśmy rodziny przedewszystkiem pobożne, rodziny duchowne, palestranckie, spokojne albo awanturnicze: a wszystko to zwykle szło rodem aż do czasów ostatnich. Wapnowscy, acz mniej rozgłośni i sławni, nie odznaczali się nigdy bohaterską miłością ojczyzny, ale za to sławni byli po wszystkie czasy wielką zacnością i ludzkością. Takim był Tobiasz; takim i syn jego Tadeusz. W inne czasy wypadło jego życie, zaczem trochę odmiennie się odbijają jego przymioty. Za czasów Kościuszki służył cokolwiek w wojsku; służył także trochę pod Napoleonem; ale tylko tak, dla fantazyi, dla przyzwoitości, bo wszyscy wtedy służyli. Zaczem powrócił do kraju, ożenił się dosyć bogato, i przemieszkiwał zazwyczaj we Lwowie, bo wsi nie lubił. Z wojen napoleońskich wyniósł krzyż legii honorowej, a we Lwowie został członkiem sejmowym i szambelanem austryackiego dworu. Pod względem publicznym był niczem; ale przynajmniej w życiu prywatnem był człowiekiem zacnym, wzorowym mężem, dobrym sąsiadem i przyjacielem. Mając cokolwiek państwa w głowie, posag żony spożył w całości, do czego sądził mieć prawo, bo była to rzecz przez niego nabyta; wszakże za to z odziedziczonej po swoich ojcach fortuny ani grosza nie stracił i zostawił Starodzięki synowi bez długów i w stanie najlepszym. Ludzie tego rodzaju nie mają właściwie żadnej osobliwszej wartości; mijają jako liście na drzewie, bez śladu i bez pamiątki po sobie: ale mają zawsze tę wielką wartość, iż nic nie mógłszy naprawić, nic nie zepsuli, a co odebrali po przodkach, to oddali w całości swoim następcom. W narodach, na których zgubę czychają tysiące wrogich okoliczności, i to już wielką zasługą, — i bodaj-by się o nią wszyscy kusili! —

Jego syn Stanisław był także takim jak jego przodkowie; ale już o wiele nieszczęśliwszym od ojca. Urodził się w pierwszych latach bieżącego wieku i wychowywał się w domu. Spłynęły na niego jeszcze wszystkie staropolskie tradycye, ale już także i pojęcia nowożytnej arystokracyi. Bawił potem cokolwiek w Wiedniu i cokolwiek w Paryżu, a nareszcie do Warszawy zajechał. Tam uzyskały przystęp do niego po-

rywające wszystkich podówczas romantyczne uczucia i myśli — a pod ich naciskiem jego galicyjskie pojęcia się znacznie przetarły. Stanisław nie stał się przeto romantykiem w całem tego słowa znaczeniu, i nie stał się także człowiekiem przeważnie duchowym lub idealnym; ale nauczył się cenić wartość moralną człowieka i prace duchowe narodu. Z takich pierwiastków złożył się jego, że tak powiem charakter publiczny. W gruncie rzeczy nie jest to jeszcze żaden charakter. Bo charakterem publicznym nazywamy usposobienie takie, w którem jakaś myśl, jakaś idea, wszystko inne przeważa i objawia się w czynach. U niego żadna nie przeważała idea. Niektórzy z jego kolegów, usposobieni tak samo, pod wpływem wypadków wyrobili się z czasem — i poszli na prawo albo na lewo, na wskos albo na poprzek. On nigdzie nie poszedł — i został nijakim. Nie był wszakże bez pewnych znamion charakterystycznych w życiu prywatnem i naturalnie takim był wszędzie i zawsze: nadzwyczajnie dobrego serca, nieposzlakowanie poczciwym i szlachetnym na wskróś. Z wybuchem wojny w r. 1830 Stanisław poszedł jak wszyscy, ale adjutantował przez całą kampanię. Kiedy mu się pomimo to kilka razy zdarzyło być w ogniu, był odważnym i walecznym a nawet się pięknie odznaczył: nie mogło inaczej być, nikt o tem nie wątpi. Ale przecież nie był to już żołnierz takiego kroju, jacy dawniej bywali. Bił się, gdy było potrzeba, był-by i zginąć potrafił bez żalu; ale przecież więcej już wierzył w dyplomacyę, niż w szablę. Był to znak, że się w nim już bardzo zatarły stare dziejowe tradycye a z niemi razem zachwiał się także i staropolski zdrowy rozsądek: bo nie wierzyli w dyplomacyę Czarnieccy, Żółkiewscy, Potoccy i Chodkiewicze, i dobrze bywało!— Po wojnie skończonej powrócił Stanisław do Starodziek, i zaraz się ożenił. Chwalono mu to ożenienie a nawet i zazdroszczono: bo wziął córkę zacnych rodziców, młodą i piękną, wykształconą bardzo wysoko, znającą wiele języków, mającą głębokie uczucie piękna, poczciwą, czułą a nawet idealną cokolwiek. Ale w istocie rzeczy było to złe ożenienie, bo jego żona miała nieskończoną ilość pretensyi i potrzeb, a bardzo mało posagu. Mogła tedy być najlepszą żoną dla wielu innych; ale on miał dla takiej żony albo zanadto słaby charakter, albo zanadto mały majątek. Tymczasem nie zwracano na to żadnej uwagi. Starodzięki miały reputacyę rozgłośną, zrobioną jeszcze pracowitością ś. p. Tobiasza — i przynosiły jeszcze natenczas dość piękne dochody, ale już o wiele mniej znaczne, niżeli za życia Tobiasza. Daleko lepszą była ich reputacya, niż rzeczywistość. Państwo Stanisławowie, jak bardzo wiele szlachty naówczas, żyli według reputacyi, a nie według rzeczywistości. Wyjeżdżali po kilka kroć za granicę, odwiedzali kąpiele, bawili przez zimę w mieście. Siedząc na wsi, prowadzili dom otwarty i bardzo gościnny. Zawsze po kilku emigrantów bawiło w ich domu, zawsze było pełno gości, zawsze kuchnia wykwintna, wina francuzkie, cukry i pasztety; zawsze wszystkie nowe xiążki i nuty, wszystkie dzienniki polskie i kilka francuzkich. Zawsze ekwipaże wykwintne, liberya ładna, w lecie przejażdżki, w zimie koncerty i bale. Od czasu zamknięcia salonów w Grodowiskach, nie było tak przyjemnego domu w całem tamtejszem sąsiedztwie. Bóg nie wie zkąd nie zjeżdżali się tam goście: i mieli po co. Bo tam był taki gospodarz, którego można było do ran przykładać a nigdy się z nim dosyć nagadać; tam gospodyni miła, światła, przyjemna, całem sercem Polka, a całem swem ułożeniem Francuzka; tam się zbierały wszystkie nowiny z całej kuli ziemskiej, z nauk, z literatury, ze świata muzykalnego, artystycznego a nawet politycznego; tam wreszcie najpierwej dochodziły wiadomości polskie z Paryża, podówczas takie ciekawe; tam często opierały się znamienite osobistości emigracyjne; tam nawet czasem odbywały się posiedzenia, których narady nie były bez przeważnego dla kraju znaczenia. Dość, że nie można było mieć więcej otwartego serca i domu dla braci, nie można było żyć piękniej i pożyteczniej, nie można bylo w okolicznościach ówczesnych mieć więcej obywatelskiej zacności: ale też i nie można było się lepiej rujnować.

Jednak należy uważać, iż nie zrujnowały ich wcale ani xiążki i nuty, ani ich dom otwarty, ani ten natłok gości z całego świata: tylko to, w jaki sposób to wszystko robili i prowadzili. Rujnowała ich nie rzecz, ale jej forma; nie duch, ale ton. Wszystko to można było zrobić na miarę szlachecką bez żadnej ztąd szkody, bo Starodzięki były aż nadto wystarczającym na to majątkiem; ale nic z tego nie można było przedsięwziąć na ton elegancki i pański, bo Starodzięki nie mogły na to wystarczyć. Od czasu rozbioru Polski, od czasu zwichnięcia dawnych tradycyi a niezastąpienia ich zasadami równie potężnych wpływów, zawsze i wszędzie gubią nas formy, których starodawną wiekami wypróbowaną straciwszy miarę, nie możemy w nią na żaden sposób ugodzić. Tak samemi formami gubili się także Wapnowscy: tracąc coraz bardziej dawne zapasy, podupadając na gospodarstwie i grzęznąc nawet pomału w długi. Było-by to jeszcze wszystko pozostało bez ważnych skutków, bo nie trudno było się opamiętać, a pare lat dobrych na Starodziękach mogły wszystko naprawić; ale około roku 1843 przyszedł był Stanisławowi, jeżeli nie jego żonie, koncept arcy-fatalny. Oto ich córeczka skończyła była już wtedy lat jedenaście i za lat kilka miała być panną dorosłą: a oni jeszcze zawsze mieszkali w tym starym, zgarbionym, drewnianym dworze, który stał tutaj za czasów Tobiasza. I nie pomni na to, że taki bogaty Tobiasz w nim całe życie przemieszkał, — ani na to, że ich ojciec Tadeusz, acz taki pan i elegant, tylko go cokolwiek rozszerzył i także na nim poprzestał, — ani nawet na to, że to był jeszcze dom wcale dobry, wygodny i ciepły i bardzo nawet milutki: zaczęli murować pałac w Starodziękach. Ej! ileż-to fortun wyszło z rąk szlacheckich przez pałace — a ile ich z powodu pałaców siedzi

w długach do dziś dnia! W pewnej epoce tych tak zwanych szczęśliwych pańszczyźnianych czasów, a mianowicie pomiędzy latami 1815 a 1845, stawianie pałaców było u nas dość pospolitą chorobą. I nie była, jak mniemam, jedynym jej powodem próżność i fuma; ale raczej to, że się szlachta nudziła.

Dawnemi czasy żaden szlachcic się na wsi nie nudził. Młodość przesłużył zazwyczaj w wojsku — a osiadłszy na swoim zagonie, miał sejmiki i sejmy, komisye i kondescencye, sądy i trybunały, elekcye i pospolite ruszenia, prócz tego chrzciny, imieniny, wesela, pogrzeby, co wszystko zazwyczaj z wielką się odbywało paradą. Miał więc i służby i rozrywki do syta. Toż kiedy mu się jego dom stary zgarbił i wykrzywił, najczęściej go tylko naprawił: a jeśli już musiał stawić dom nowy, to go postawił z drzewa, obszernie, wygodnie i jak można najprędzej, bo nie wiele czasu miał na to. Nie stawiał go nawet wystawnie: bo chociaż tam kędyś powiada Sarnicki, że w dawnych czasach bywały w Polsce domy drewniane *admirandæ structuræ,* które mu nawet stają za dowód, że owoczesni nasi przodkowie *nequaquam ingenio destitutos fuisse;* przecież bardzo to mało jest podobnem do prawdy. Były to wszystko domy bardzo pomierne i tylko jakokolwiek mieszkalne. Wzory ich aż do naszych dochowały się czasów; a nawet jeszcze i dziś można je w niektórych okolicach widzieć w niezmienionej od wieków postaci.

Ale szlachcic z epoki tej, o której mowa, dziwnie na wsi się nudził. W pierwszych latach po ożenieniu o niczem jeszcze nie myślał, bo za wszystko stawała mu miłość, która i w najciaśniejszej pomieści się klatce; lecz kiedy jego dzieci podrosły i porozchodziły się po pensyach i szkołach, kiedy on sam stał się mężem poważnym: to wtedy zazwyczaj niezmiernie silnie zaczęła się w nim odzywać żądza jakiegoś zajęcia, jakiegoś czynu, żądza pozostawienia choć jakiejkolwiek pamiątki po sobie. A tymczasem sposobności nie było do tego żadnej. Rolnictwo nie było u nas jeszcze pod owe czasy zawodem, służb publicznych dla niego nie było, powołania innego nie miał: cóż było robić? Ażeby więc choć jakkolwiek uczynić zadość tej czczości wewnętrznej, rzucał się szlachcic na architekturę, i murował pałac w swoim majątku. A pałac zazwyczaj wielki, okazały i pełen najrozmaitszych konceptów....

Tak zrobił także Wapnowski — i około roku 1843 zaczął murować pałac, o trzydziestu pokojach, z wieżą i kolumnadą, z trebhauzem i oranżeryą, z salonami wykładanemi sztukateryą, o oknach wysokich i drzwiach pozłocistych. Do trzech lat był nareszcie ten utwór już gotów w większej połowie: a nawet posprowadzano już sprzęty z Wrocławia, dywany z Anglii, kotary z Medyolanu i Wiednia. I zjeżdżali się sąsiedzi, oglądali te dziwy i wszystkie niezmiernie chwalili: a pani Stanisławowa była niewyczerpaną w opowiadaniu, jak to wszystko będzie wyglądać, kiedy jeszcze drugie skrzydło się skończy i główna sala, nad którą wtedy dopiero pracowano. Nie potrzeba dodawać, że były to wszystko nieszczere pochwały; bo każdy wiedział, że ten pałac pochłonął część czwartą Starodzięk, że długi podwoił i że z tego powodu stan majątkowy Wapnowskich, wprawdzie się jeszcze nie zachwiał, ale bardzo znacznie się nadwerężył. Jakoż byli poczciwi ludzie, którzy sobie postąpili z Wapnowskim otwarcie i ostrzegli go, mówiąc: Dobrze sobie pohulać, kiedy jest z czego, ale trzeba i miarę zachować. — I Stanisław się zastanowił i zamierzył sobie już na tem poprzestać. I byłoby mu może jeszcze i to zmurowanie pałacu zguby nie przyniosło, bo te wsie nasze, zwłaszcza w dobrych leżące ziemiach, to były za czasów pańszczyzny niewyczerpane zródła dochodów. Ale już wtedy nad losem szlachty wisiała straszliwa chmura zabijających przeznaczeń, — i kto tylko jeden krok miał zrobiony ku zgubie, dla tego już nie było ratunku. Niebawem nadszedł rok 1846. Ostrzeżony jakiemś szczęśliwem przeczuciem wyjechał Stanisław z całą swoją rodziną do Krakowa, i tym sposobem uszedł może kalectwa a może śmierci; ale jego pałac został zniszczonym haniebnie, i poniszczone zarazem wszystkie dobytki. Może nawet jeszcze i to było-by go nie potrafiło zgubić do końca: bo już wtedy całkiem otrzeźwiał, a zubożenie musiało go zniewolić do oszczędności i pracy; ale zaledwie jakokolwiek swój pałac odrestaurował na nowo i gospodarstwo troszeczkę zapomógł: nadszedł rok 1848. Orzeczone podówczas zniesienie pańszczyzny stało się dla niego zgubą widoczną. Ale nie dosyć na tem: bo nigdy luzem nie chodzi nieszczęście. Jakoż pomimo tego trza było jeszcze, ażeby Pani Stanisławowa, uniesiona szlachetnym zapałem, jaki w niej obudziło zniesienie poddaństwa, udzieliła tego zapału mężowi, — i trzeba było, ażeby oboje razem zwołali wszystkie swoje gromady, ogłosili im darowiznę wszystkich ich powinności i wydali im na to umyślnie sporządzony dokument. Najszlachetniejszy ten zapał, nietylko że gotową już dla nich zgubę jeszcze utwierdził, ale prócz tego zaparł im wszelką możność ratowania się na przyszłość.

Odtąd też zaczęły się dnie nieustających smutków i zgryzot w Starodziękach. Słabi ci ludzie nie umieli ani oszczędzić się, ani pracować; nie umieli nawet z początku pogodzić się ze swoją niedolą. Toż dopóki jeszcze było można, ratował się Stanisław nowemi długami. Lecz przyszły czasy, w których już i to nie było podobnem. A wtedy przycisnął ich rzeczywiście biblijny płacz i zgrzytanie zębów. Mając wartość Starodzięk w pamięci, zaledwie można dopuścić, do jakiej ci ludzie doprowadzili się nędzy. A przecież tak było — i było tak wtedy w niejednym domu szlacheckim. Z każdem półroczem coraz mniej sług było w domu, mniej koni w stajni, mniej inwentarzy i mniej nawet ciepła niż dawniej. I były o wiośnie ciężkie nieraz przednówki; i były dnie, w których na mięso nie było. A nadto wszystko była jeszcze zgraja lichwiarzy.... Zapewne, że kto inny na miejscu Stanisława

mógł się jeszcze choć jakokolwiek ratować. Starodzięki nie były wyżej obdłużone, jak do dwóch trzecich części wartości; miały jeszcze dość znaczne lasy dębowe, miały łąki i propinacye i młyny i rozmaite gotówki. Mając taki materyał w ręku, można było zrobić jakąś operacyę stanowczą, — i albo przy małych dochodach na Starodziękach pozostać, — albo się z jakimś jednym i drugim folwarkiem z tego trzęsawiska wycofać. Ale to był-by potrafił zrobić ktoś taki, który-by miał i głowę obrotną i umiał zachować krew zimną w tak wielorakiem nieszczęściu. A tego obojga nie miał wcale Stanisław. Nadto zaś jeszcze, jak każdy szlachetny człowiek pokorny w szczęściu, był prawie dumnym w nieszczęściu; każdy brud ludzki bolał go jak ogień piekielny; każdy podstęp plugawy burzył w nim krew i wyrzucał go z równowagi na długo. Wiadomo to zaś powszechnie, jakiem bywa zazwyczaj postępowanie wszystkich żydowskich i chrześciańskich lichwiarzy. Na człowieka, który się zachwiał w swych interesach, rzuca się ta zgraja obrzydła jak ptastwo drapieżne — i niemasz natenczas brudu, ani podłości, ani występku, którego-by się oni nie dopuścili, ażeby go dogryźć do reszty. Najnielitościwsi ze wszystkich katów, są zarazem najżarłoczniejsi: nie dość im na pieniądzach, na dobytkach, na ziemi, oni-by pili krew swojej ofiary, wysysali-by szpik z kości, radzi-by połknąć jej duszę. Widząc takie postępowanie przeciwko sobie, — i owe zmowy haniebne, w skutek których nic nie mógł sprzedać po słusznej cenie, — i owe obrzydliwe na kłamliwych zeznaniach poopierane procesy, — twardniał z dniem każdym na duszy, upierał się przy swojem, poły ucinał, dał się odzierać, dał się zabijać — a zresztą gardził tym wiecznie ropiącym wrzodem ludzkości!

Wszakże to mu nie pomagało — i jeszcze tylko przysparzało cierpienia. Jego żona już dawno tym cierpieniom uległa: leżała w łóżku od roku, jedni lekarze wróżyli jej skirą, drudzy suchoty, a żaden nie wróżył życia. On zaś sam w tych kilku leciech do niepoznania się zmienił. Dawniej taki przystojny, sławny z swych pięknych włosów i wąsów, słuszny, rumiany i nadzwyczajnie słodki i grzeczny: dziś posiwiał już bardzo, zbladł i wyszczuplał, jak młodzik. Toż z swoją krótko ostrzyżoną czupryną, z przyciętemi wąsami, z zaciśniętemi usty, z dziwnie poważną dumą w całej postaci, wyglądał prawie jakby uosobienie niechęci i złośliwości, której nigdy nie znał na życiu. Ale tak go dzisiaj zmieniły czasy: jakoż tak żył, tak przesiadywał u łoża swojej cierpiącej żony i tak się rzucał na pastwę swoim cierpieniom, które już nigdy nie miały się skończyć..... Jedynem tych nieszczęśliwych ludzi źródłem pociechy, — ale zarazem i źródłem tem głębszej zgryzoty, — była ich córka. Klotylda jej było na imie, — miała natenczas lat ośmnaście — i było to dziecko prześliczne. Była miernego wzrostu, ciemna szatynka, o czarnych oczach, stworzonych na to, ażeby wrzącym pałały ogniem, ale wśród cierpień, przyćmionych mgłą niewysłowionej boleści. Twarz miała pełną, zaokrągloną cudownie, z dołkami w jagodach i dołeczkiem w bródce; jakże-by się na takiej szczeropolskiej twarzyczce wydawały dwa piękne rumieńce! Ale ich nie było; bo ból i zgryzoty zamieniły tę różę w białą lilię już z młodu. Wszakże w cierpieniach wyrosła jej dusza i serce zmężniało nad podziw. Bóg wie, ile tam łez wylały jej oczy, ile modlitw gorących wyszeptały jej usta w ukryciu: ale w obec rodziców była ona jak słońce, które od świtu do nocy nie gaśnie — a kiedy słońce zagasło, ona była im gwiazdą błyszczącą. Choć takie wiotkie z niej jeszcze było dziecią̨tko, umiała już dźwigać na sobie wszystkie troski domowe. Ona była niespracowanym stróżem łoża swej matki, podawała jej leki fizyczne i leki moralne, rozrywała jej umysł czytaniem xiążek, rozweselała jej serce nigdy nie ustającą pociechą; służyła jej jak córka i jak niewolnica: zwykle własnemi rękami prześcielała jej łóżko i często na własnych dźwigała ją rękach, ażeby ją na jaką godzinę posadzić w krześle przy oknie. Niespracowaną była w usługach około matki i niespracowaną w usługach całego domu. Pod jej dozorem była szpiżarnia i kuchnia, pod jej zarządem całe gospodarstwo niewieście. Niezmiernie pracowite, trudne a czasem zaledwie podobne było to gospodarstwo, bo już natenczas we wszystkiem nie stykały się końce. Wszędzie się dawał uczuwać brak ludzi, brak materyałów, brak środków. Czasami okazywał się niedostatek taki dotkliwy, że niepodobna mu było zaradzić. Ale przemyślna jej główka, jej pracowitość, jej wiara w pracę i w Boga, który pracę nagradza, umiały pokonać nawet niepodobieństwa. I było zawsze wszystko, co tylko być mogło: nigdy cierpiącej matce na niczem nie brakło, zawsze był jakiś znośny obiadek dla ojca, zawsze posilająca herbatka i zawsze jakiś groszyk w jej szkatułeczce i zawsze jeszcze daleko cenniejsza od złota z anielskich ust jej pociecha. Złamana we dwoje boleścią i często już nieprzytomna jej matka zaledwie umiała te nieodpłacone zasługi swej córki ocenić. Leżała zazwyczaj przez większą połowę dnia w jękach, a potem sen jej zawierał powieki. Więc czasem tylko, utopiwszy w jej bladej twarzy swoje gasnące oczy, gorącemi zalewała się łzami. Płacz i cierpienie nie dawały jej słowa wymówić. Widać tylko było jej boleść, lecz trudno było zrozumieć jej wielostronne zapewne znaczenie.... Ale ojciec, przytomniejszy teraz niżeli przez całe życie, był w uwielbieniu dla tej nieocenionej dziewczyny. Widząc jej zapobiegliwość i poświęcenie, był czasem tak głęboko wzruszony, że tylko ją porywał w ramiona, przyciskał do piersi i mówił: — Tylko ty jedna trzymasz mnie jeszcze przy życiu!

W chwilach innych, kiedy był myśli weselszej, dziwił się jej i mówił: — Ach! cóż też z ciebie za gospodyni! I zkądże ty bierzesz to wszystko? skąd te mięsiwa, te ciasta, ta bielizna zawsze tak czyściuteńko uprana, te lampy wiecznie płonące, te dzienniki nawet, te xiążki, te nuty? — I zamyślał się nad tem i kończył: — Szczęśliwy będzie ten mąż, który się z tobą ożeni: on pewnie nie straci majątku i nigdy nie zejdzie na nędzę!

Lecz za to znowu miał chwile, w których zapatrzywszy się na nią, łzy jak fontanna wytryskały mu z oczu. Zrywał się wtedy, brał ją za ręce, przyciskał je do swej piersi i mówił: — Ach! dziecko moje! cóż z tobą będzie? czy jest gdzie na świecie człowiek, który-by ciebie umiał ocenić? czy weźmie ciebie z takiego ubóstwa? czy będziesz ty za nim szczęśliwą? Oh! tylko to jedno, co mi umrzeć nie da spokojnie.... co kościom moim nie da odpocznienia nawet i w grobie!

Klotylda na łzy ojca odpowiadała łzami; ale umiała go zawsze pocieszyć. I zapewniała go, że nigdy męża nie zapragnie i zawsze tak będzie przy ojcu; że nigdy się na to żalić nie będzie, bo takie życie jest jej najmilszem; że nigdy się nie spracuje, bo ma zdrowie wyborne, i siły i chęci i wielkie w gospodarstwie zamiłowanie. Zapewniała go nawet swoim prześlicznym dziecięcym głosem, że jej gospodarstwu zawsze się tak będzie powodzić, zawsze wszystko tak będzie i nigdy niczego nie braknie, bo to już tak jest... to tak musi być.... ona ma na to swoje sposoby.

I miała rzeczywiście swoje sposoby, bardzo sekretne i nadzwyczajnie dowcipne: a wszystkie zaczynały i kończyły się na panu Mateuszu. Ktoż był Mateusz? —

Z pomiędzy nieskończonej liczby emigrantów, którzy w tym domu po kilka tygodni, po kilka miesięcy i po kilka lat bawili, jeden tylko szczególny przywiązał się do niego z całego serca i na zawsze w nim został. Był to stary żołnierz, niewiadomego nazwiska, a na imię Mateusz. Służył on od roku 1807 w legionach, był w Hiszpanii i w wyprawie na Moskwę. Służył przez lat piętnaście potem w wojsku Konstantynowskiem i był jednym z najulubieńszych przez wielkiego xięcia żołnierzy. Ale pomimo to nie doprowadził dalej jak do rangi wachmistrza. Rozmaite się na to złożyły przyczyny: więc najpierwej jego figle, które bezustannie płatał Moskalom, — potem biały orzeł, którego zanadto często odwiedzał, — a wreszcie to, że w jego olbrzymiej dłoni nie mogła się na żaden sposób utrzymać rzecz tak mała, jak pióro. Pióro było dla niego tem, czem sprawa Polski dla Lamartina, *une chose insaisissable*. Ale za to zaraz po Grochowskiej został porucznikiem, a po Ostrołęckiej postąpił na kapitana. Jednakże ranny niebawem kartaczowym odłamem w nogę, wojny zaprzestał, a pod jej koniec przewlókł się w te strony i osiadł w Starodziękach w gościnie. W jakiś rok czy dwa lata wyleczył się z swojej rany; ale odtąd już chodził na kuli a przynajmniej ją nosił zawsze przy sobie, bo mu była niezbędnie potrzebną. Był to człowiek, jak widać z lat jego służby, już dosyć stary, ale był przytem niezmiernie czerstwym i rzeźwym. Mały był i tak wysuszony jak deska; twarz miał tak zapadniętą, że się zdawało, jak gdyby usta ciągle do pocałunku nastawiał; cierpiał na astmę, na romatyzm, na kolki i był przytem kulawym ale pomimo to spoczynku nie znał i nienawidził. Zawsze miał jakieś zajęcie. Za dobrych czasów zajmował się tylko pasieką i sadem, a przytem łowił ptaki w samotrzask, na lep i na sidła: ale jak złe czasy nadeszły, objął komendę nad ogrodem warzywnym, nad mleczarnią pozostawioną dla domu, nad kuchnią i nad szpiżarnią. I otóż to był ten sekretny sposób Klotyldy dostarczania wszystkiego: był nim w całości nieoszacowany Mateusz. Ale co on, to miał istotnie sekretne gospodarowania sposoby. Pieniędzy nie miał — a robotników do pasieki, ogrodów i sadów potrzebował bez końca, bo tam uprawiał Bóg nie wie jakie jarzyny, sadził wielką ilość ziemniaków i siewał nawet pszenicę i żyto. Ale miał ich zawsze dostatkiem w sposób sobie tylko właściwy: bo łowił ich jak ptaki na sidła. Kiedy się wiosna zbliżała, on zasiadał przy fórcie otwartej ogrodu, która wychodziła na drogę i jak tylko mu się jaki żebraczek nawinął, zaraz go chwytał, mówiąc: — Chodź do mnie bracie, ja cię pożywię. — Toż jak tylko go przeprowadził przez fórtę wewnątrz ogrodu, już to był jego murzyn, którego z rąk nie wypuścił. Nazbierawszy takiego hultajstwa całą czeredę, poodbierał im torby i kije, i zapędził do pracy. Dawał im wtedy jeść z kotła, który wisiał po żołniersku na kozłach i pozwalał im sypiać przez wiosnę i lato pod drzewem, a w jesieni w słomianych budach przy ziemniakach i kukurudzy: ale robił niemi za to jak końmi, od świtu do nocy. Kiedy go czasem słuchać nie chcieli, walił kulą pomiędzy nich jak zmłocek pomiędzy snopy: naturalnie że nigdy żadnego nie trafił, ale tem utrzymywał rygor pomiędzy nimi. Tak obrobił nimi pasiekę, sady i ogrody; pozbierał grochy, fasole, pszenicę, żyta; powybierał ziemniaki, buraki i brukwie: a kiedy już to wszystko było pochowane w szpiżarni i w kopcach, każdemu oddał torbę i kij, mówiąc: — Idź, moje dziecko, w świat między ludzi. Nauczyłeś się u mnie pracować, zrobiłem z ciebie człowieka, teraz ci już chleba nie braknie. — Tych, którzy na to mruczeli, traktował kulą i jako buntowszczyków za fórtę wyrzucał; lecz byli tacy, którzy odchodzili bez myśli i nawet na przyszłą wiosnę sami do niego wracali. Tak samo gospodarował w mleczarni: krowy żywił wybornie, ale mleczarkom nic jeść nie dawał, mówiąc: — Napij się mleka, to zdrowe; ukradnij sobie kędy ziemniaków, widzisz przecie że cały świat żyje przemysłem; a posiej sobie lnu i konopi, pan ci da na to zagona, to będziesz miała koszulkę i fartuszek. Tak moje dziecko, pamiętaj sama o sobie, bo ja nie mogę: szkaradne teraz są czasy, o mnie także nikt nie pamięta. — Tak także gospodarował w izbie czeladniej: prawie nic jeść czeladzi nie dawał, kwartę krup na sześcioro, bułkę chleba na wszystkich. A kiedy się który o to upomniał, mówiąc: — Z czegóż ja panie żyć będę? — Kapitan huknął na niego z moskiewska, jak piorun: — P r o m y s ł o m! błaźnie! tak żyje cała armia Kozaków — a was kilkunastu nie może! — I trzymali go się ludzie daleko lepiej, niżeli ekonoma i nawet samego pana, choć tamtym jakokolwiek płacono. To może się dziwnem wydawać, lecz nie powinno. Ludzie mają jeszcze do dziś dnia szczególniejsze zamiłowanie w poddań-

stwie — a być ciągle pod biczem i całować tę rękę, która ich bije, zdaje się być dla nich czasem osobliwszą rozkoszą. Toż jeżeli w niektórych czasach mógł się kochać w niewoli naród tak oświecony wysoko, jakim jest Francya dzisiejsza, — jeżeli częstokroć wielcy i znamienicie wykształceni panowie mogą biedz na wyścigi w służalstwo, — ażaliż dziwno, że ciemny i nieoświecony parobek nie umie się obejść bez pana? Tak gospodarując, rzecz oczywista, że kapitan miał czem zaopatrywać szpiżarnię i kuchnię, i miał nawet jeszcze i grosz gotowy, który mu przypływał za miód, za wosk, za owoce i zbyteczne jarzyny. Umiał on też zbierać te grosze, bo był skąpym nad wszelkie pojęcie. Do dziś dnia jeszcze chodził w tym samym granatowym surducie, po wojskowemu skrojonym, w którym tutaj przyjechał; tę samą miał kamizelkę, pod samą szyję zapiętą; ten sam halsztuk włosienny z białą obwódką, który mu brodę piłował. Miał oprócz tego frak granatowy, ale go brał tylko trzy razy do roku, w troje świąt głównych. Ale kiedy go miał ubierać, nieszczęśliwy był ten chłopiec, który go czyścił. I nieszczęśliwy był każdy rzemieślnik u niego.

Kiedy krawca zawołał dla poczynienia naprawek, to siedział sam nad nim jak szatan nad grzeszną duszą, a z krawca pot ciekł kroplisty. Kiedy kupował skórę na buty, to tak zmęczył żyda, że się żyd wyrzekł wszelkiego zysku, byle go tylko z rąk swoich wypuścił: a stary kapitanisko się cieszył jak opętany, wszędzie tę skórę obnosił i mówił: — Patrz-no Asindzi! co to za skóra! a zgadnij co mnie kosztuje? — Każdy mówił, przynajmniej dukata. — A kapitan na to: — A furfancie! utraciuszu! marnotrawniku! a sześć złotych, sześć złotych. — Toż kiedy przywołał szewca i sam z nim tę skórę przykroił, przymierzył podeszwy, dobrał branzole aftyledry wysztukował z kawałków, i potem go w swojej izdebce do roboty zasadził: to przedewszystkiem wjechał mu swoją suchą ręką w czuprynę i ścisnął co miał siły. Szewc krzyknął gwałtu: — A co to? — A on cisnąc coraz lepiej, tak jemu mówił: — Cicho pysiu! bo to nie ze złości, ani też dla bolu; jeno dlatego, ażeby twoje szwy tak mocno trzymały, jak moja ręka za łeb cię trzyma. Rozumiesz? — Oczywiście, że szewc doskonale zrozumiał i tak przyciągał szwy, żeby kapitan chodził w jego obuwiu przynajmniej dwa lata. Ale się za tę naukę nic gniewał, bo poczciwy kapitanisko wstał codzień przed świtem, napił się gorzałeczki ze szewcem, zaczem ścisnął nos okularami, dobył xiążki nabożnej i zawsze z nim wszystkie godzinki odśpiewał. A wieczór także przy nim zasiadał, gorzałki już nie dał, bo co nadto, tego i za wiele, lecz za to opowiadał mu ciekawe o Kilińskim powieści, i jakie to szewcy bywają w Warszawie. — Ot! u naszych starych zdarzało się także skąpstwo czasami i rozmaite przemysły się wydarzały, które niekoniecznie były godziwe: ale przecie to jakoś bywało inaczej! Powodem skąpstwa bywała zazwyczaj bieda, a przemysł się rodził z fantazyi i z jednem i z drugiem rzadko kiedy się nie godziła szlachetność — a przynajmniej nigdy tam tego odrażającego brudu nie było, który dla grosza zaprzedaje i narodowe i osobiste sumienie. — Takim był też Mateusz. Toż jeśli skąpił, to pewnie nie dla siebie — a jeśli p r o m y s ł o m chwytał grosze, gdzie mógł, to także tylko dla drugich. Jakoż co kilka tygodni zawsze on kędyś mrugnął na ukochaną przez siebie Klotyldę, a znalazłszy się z nią na osobności, pytał basowym szeptem:

— A co tam? jest jeszcze jaki groszyk w szkatułce? — Zaczem dobywał z kieszónki kilka lub kilkanaście dukatów i dawał jej mówiąc: — A nie straćże tego. A schowaj. A nie pokazuj nikomu. A wina, a bakalii nie kupuj, bo to marności światowe. Jeślić na sukieneczkę, na jaką dobrą książeczkę, albo na polską gazetkę, to więc nie żałuj. A gdyby-to można mieć jaką gazetkę z Paryża! Hej! hej! co też tam się dzieje z naszymi! Tuła się to biedactwo o głodzie i chłodzie pomiędzy cudze narody — a mnie tutaj jak w raju! — I płakał zacny staruszek nad bracią.

Taki-to był ten gość, który zasiadł w Starodziękach na zawsze. Jakoż trzeba to przyznać, że jeżeli Wapnowscy tak wiele gości przyjmowali niegdyś w swym domu, jeżeli się nawet na tę gościnność otracali cokolwiek, to taka gościnność nie pozostała bez dzięki, bo hojnie im ją dziś wynagradzał Mateusz. Gdyby jego nie było, Bóg wie, coby się już było nie działo w tym domu!

Taki był stan tej rodziny, kiedy ją Krzesław azczął odwiedzać. A odwiedzał ją zawsze wiedeńskim powozem, czterema dużemi końmi i nawet ze służbą ubraną w liberyę. Wprawdzie ten powóz pochodził widocznie z tandety, koniska jeszcze miały boki poobszarpywane w bronach, a liberya była niezmiernie wyszarzana i gruba, ale zawsze taki ekwipaż zdradzał jego intencyę. Toż kiedy prócz tego zaczął bywać co dwa dni, a wkrótce prawie codziennie, intencya jego nie ulegała już żadnemu wątpieniu — a rodzina Wapnowskich znalazła się w konieczności powzięcia zawczasu jakiegoś postanowienia.

Wszystkie trzy osoby, składające tę rodzinę, pod wielu względami rozmaicie zapatrywały się na tę konkurencyę. Więc matka, która zawsze jeszcze marzyła xiążęce swaty dla córki, była w gruncie rzeczy Krzesławowi przeciwną. Taki szlachcic zwyczajny i na tak małym majątku, była to wedle niej partya daleko mniej niżeli mierna. Ale zważywszy obecne okoliczności..... i słyszawszy niemało wieści o Krzesława zapobiegliwości, uważała ten projekt jako znośny nareszcie, a przynajmniej nie miała zamiaru mu się sprzeciwiać. Ojciec zapatrywał się na tę sprawę trochę inaczej. On słyszał o Krzesławie daleko więcej i wiedział, że to jest partya dla Klotyldy najlichsza. On był krewnym Krzesława — i właśnie dlatego sądził go bardzo surowo, a chociaż o nim nic takiego nie wiedział, coby go w jego oczach podliło, bo krewni zazwyczaj się dowiadują o takich rzeczach najpóźniej, jednak miał już powody, cenić go bardzo nizko. Ale Krzesław miał to, czego on nie miał i złożył już tych talentów dowody:

odebrał obdłużony majątek, oczyścił go i robił jeszcze fortunę. To mu imponowało. Takiego zięcia mu było potrzeba. Taki zięć był jedynym dla niego ratunkiem. Wprawdzie cierpko mu było, że Opatrzność na takiego zięcia wybrała takiego Krzesława, — przypominał sobie, w jaki-to sposób jego dziad Tobiasz wyratował Krzesławowego dziada Bernarda od zguby, i taki marzył sobie ratunek, — ale.... kiedy tak podobało się Bogu, nie sądził za swoją rzecz sprzeciwiać się Jego wyrokom, i postanowił zdać to na Klotyldę. Tymczasem Klotylda zapatrywała się na swojego pretendenta jeszcze inaczej. Ona go wprawdzie nie znała, lecz darem Bożym, którego rzadko która nie posiada kobieta, przeczuła jego na wskróś. Człowieka, który-by się jej wydał tak czarnym, nie widziała jeszcze na życiu. I miała wstręt od niego, wstręt głęboki i nieprzeparty. Kiedy Krzesław przyjeżdżał, jej krew tak się burzyła, jakby na widok węża, jej nerwy grały jak roztrojona arfa. Ale Klotylda miała nieledwie męzką rozstropność i niewyczerpaną miłość ku swoim rodzicom. Dla nich żyć, dla nich pracować, dla nich szczęście swoje poświęcić, to było jej ideałem. Więc chociaż wysileniem najwyższem, jednak przezwyciężyła ten wstręt, nigdy się z nim przed rodzicami nie zdradziła, przyjmowała Krzesława najuprzejmiej ze wszystkich i była zdecydowaną oddać mu rękę z uśmiechem szczęścia na twarzy. Tak więc, choć w gruncie rzeczy byli mu wszyscy przeciwni, jednakże wszyscy byli za nim; bo los, bo szczęście, bo przeznaczenie na jego przychyliło się stronę. I cóż tu mówić? — Biedna Klotylda!

Tymczasem Krzesław, nie bawiąc się długo próżnemi zaloty, — rzeczą tak niepopłatną i nieintratną — istotnie dnia jednego przyjechał po słowo ostatnie. Rozmawiał chwilę z matką, potem kwadrans z Klotyldą, a nareszcie wziął ojca do osobnego salonu i oświadczył mu się o rękę córki. Ale mówił tak.... jak gdyby nic.... jak gdyby łaskę wyświadczał.... jak człek pieniężny mówić zwykł do bankruta:

— Wiesz co, Stanisławie, twoja córka mi się podoba. Sądzę, że i ona nie ma mnie w obrzydzeniu. Więc jeżeli cię to aranżuje.... to może-by się ta rzecz dała ułożyć.

Stanisławowi, który przedewszystkiem był człowiekiem bardzo delikatnego uczucia, a teraz jeszcze tem więcej drażliwym, bardzo się ta przemowa nie podobała; ale człowiek, który brzytwy się chwyta, przecież jej nie wypuści z ręki dlatego że kraje. Więc i Stanisław tylko z dumą mu odpowiedział:

— Ani mnie to aranżuje.... Ale.... jeżeli Klotylda cię przyjmie, to ja nie będę miał nic przeciw temu.

— Ja już mówiłem z Klotyldą — rzekł Krzesław.

— I przyjęła?

— Dała mi rękę.

— Ha! to i ja daję, — rzekł na to cokolwiek żywiej Stanisław.

I jako był zawsze człowiekiem serca, tak się też zaraz rozczulił i sam wziął Krzesława w objęcia i mówił:

— Życzę ci szczęścia z całej duszy. I wierzę, że będziecie oboje szczęśliwi. Klotylda jest to dziewczyna nieocenionych przymiotów. Dobra, poczciwa, skromna, cicha, niewymagająca, a do tego i gospodyni wyborna. Nasze nieszczęścia nauczyły ją gospodarstwa! I łzy mu w oczach stanęły.

Widząc te łzy, trzeba było być głazem, żeby się nie rozczulić. Krzesław był głazem.

Jednak Wapnowski tego nie uważał, i dając folgę swojemu sercu dalej, wywnętrzał się przed nim z swoich cierpień i bolów, z swoich umartwień i zgryzot. Tak mówiąc i rozczulając się coraz bardziej, rzekł w końcu:

— Ach! nie uwierzysz mój bracie, jak mi się serce kraje na tę myśl, że moja córka wychodzi za mąż, nic nie biorąc ze sobą! No, ale spodziewam się przecież, że się na tem nie skończy: Starodzięki jeszcze nie całkiem przepadły, a co się z nich wyratuje, to wszystko dla niej.

Krzesław go słuchał odtąd z obojętnością zupełną, ziewając i bawiąc się grubym od zegarka łańcuszkiem, którym błyszczał z daleka jak kupczyk lub fryzyer; lecz teraz się w ten moment ożywił i rzekł:

— A czy wyratuje się coś jeszcze z Starodziędk?

— Tak się spodziewam.

— Któż wyratuje? czy ty?.... pytał Krzesław z ironią, — bo zdaje mi się, że Starodzięki już są wystawione na sprzedaż publiczną.

— Tak, ale to nie ma nic do rzeczy.

— Proszę cię.... bo chciał-bym mieć o tem jakieś jasne wyobrażenie. Jakżeż to myślisz?

— To tak, — mówił Wapnowski otwarcie, — ja sam stanę na licytacyi i jeżeli Starodzięki wypędzę wysoko, ha! to je puszczę! cóż robić! a jeżeli je kupię poniżej wartości, to uzyskam przez to cokolwiek spokoju, a spokój da mi ratunek.

— Ale proszę cię, — mówił Krzesław z niedowierzaniem, — przecież już do tego samego, ażeby stanąć na licytacyi, trzeba mieć ze dwadzieścia i kilka tysięcy, bo Starodzięki są pewnie oszacowane wyżej dwóch kroć stu tysięcy.

— Tak, ja wiem o tem.

— No, — mówił Krzesław, — więc potem? jeżeli je kupisz....

— Jeżeli je kupię, to mając ręce rozwiązane, wyprzedam kilka folwarków, wyprzedam dębowy las, a w skutek tego utrzymam się przy samych Starodziękach, na których prócz Towarzystwa nic się nie zostanie.

Na to Krzesław wstał i zaczął mówić głosem stanowczym i suchym:

— Mój kochany, to są romanse! Ty ani dwudziestu tysięcy na wadium mieć nie będziesz, ani Starodziędk nie kupisz; a jeżeli je kupisz, to ani folwarków nie wyprzedasz, ani lasu nie sprzedasz, ani nic nie zrobisz. Kiśniesz dziś w jednej beczce, a potem będziesz kisł w drugiej. Mówmy otwarcie: przyjaźń przyjaźnią a interes interesem. Dla ciebie jest jeden

ratunek, a to następujący. Ty mi oddasz Klotyldę a z nią Starodzięki. Zrobiwszy to, mianowicie tak, jak ja zadyktuję, wyjedziesz natychmiast za granicę i nie powrócisz, aż póki ja sam cię nie zawezwę. A kiedy wrócisz, wszystko będzie w porządku.

Usłyszawszy taką propozycyę, Wapnowski zbladł jak ściana, ale udał jak gdyby nic, i mówił dalej:

— A kiedy wrócę, to cóż będzie ze mną?

— No cóż? osiądziesz przy mnie i będziesz miał u mnie wszelkie wygody. Czyż trzeba ci więcej?

— A moja żona? — pytał Stanisław, panując mężnie nad sobą.

— Twoja żona.... może żyć jeszcze dwa, trzy, a może cztery miesiące; o nią niema się co kłopotać.

Wapnowski odetchnął tak, jak gdyby mu pierś miała pęknąć; ale rzekł grzecznie:

— Dziękuję ci mój Krzesławie, żeś tę rozmowę odprawił ze mną przed ślubem, a nie po ślubie: byłbyś mnie nabawił śmiertelnej zgryzoty. Teraz przebaczam ci to, a nawet szczerze dziękuję, boś mnie nauczył do jakiego stopnia brutalstwa doprowadza was materyalizm.

Słowa te niezmiernie zadziwiły Krzesława, nie mógł ich nawet zrozumieć:

— Jakto? więc zrywasz?

— Nie zrywam, bo nie było tu jeszcze nic do zerwania. Przyjechałeś do mnie, nie po rękę mojej córki, ale po Starodzięki; ja ci Starodziąk nie dam: o czem-że tu mówić?

— Ale mój Stanisławie, — zawołał na to Krzesław, — nie bądź-że dzieckiem! Przecie raz trza mieć rozum i zaprzestać mieszać romanse z interesami. To co ci proponuję, jest jedynym dla ciebie ratunkiem. Nie zrobisz tego, to przepadniesz wraz z twoją córką na wieki. Szanuj-że szczęście, dopóki ci się darzy. No, dajesz rękę? dam się jeszcze pociągnąć, dam ci z Starodziąk tysiąc guldenów, no! wiesz co! żebyś nie myślał.... dam ci po tysiąc pięćset co roku.

To wyczerpało już ostatnie zasoby grzeczności Stanisława; jakoż rzekł na to:

— Przepraszam cię, panie Krzesławie; ale tak nie umiem rozmawiać z żydami, że jak tylko nie muszę, zawsze się od nich usuwam.

To rzekłszy, ukłonił mu się niziutko i wyszedł. I pobiegł czemprędzej do pokoju swej żony, gdzie matka i córka z wrzącą niecierpliwością na niego czekały. W kilku słowach opowiedział im wszystko. Jakoż z głośnemi łzami rzucili się sobie wszyscy troje w ramiona, dziękując Bogu za tak widoczne miłosierdzie nad niemi — i było przecież raz trochę szczęścia w tej nieszczęśliwej rodzinie.

A Krzesławowi, na taką Stanisława odpowiedź, przecież raz krew uderzyła do twarzy. Ale nie bardzo. Bo cóż to? Nie udał mu się interes: czy to pierwszy? czy ostatni? — Jakoż już całkiem zimny powrócił do domu. A jak tylko przyjechał, natychmiast się przesiadł na wózek, wyjechał z domu i bawił kędyś blisko dwóch tygodni. Wrócił, siedział całą dobę nad jakiemiś papierami: i znowu wyjechał i znowu bawił dni kilka. Powróciwszy, dzień jeden odpoczął: a nazajutrz tym samym powozem, temi samemi końmi i z tą samą liberyą — do Nowickiego pojechał.

Nowicki przez długi czas nie mógł się uspokoić po tych dwudziesto-tysięcznych cięgach, które wziął od Krzesława; przez cały rok wieszał psy na nim, czernił go przed całym swym domem i nawet córki swoje tak przeciw niemu poburzył, że powtarzały przed każdym gościem: — To taki brzydki człowiek, ten Krzesław! — Ale... kiedy Krzesław tak sztucznie przyszedł do posiadania całych Grodowisk.... i kiedy mu potem wypłacił gotówką jego dziesięć tysięcy.... to Nowicki się uspokoił i mówił: — Nu! to tak bywa na świecie: kto nie dołoży okiem, dołoży workiem. Od czego kto głupi? Ażeby płacił. A od czego kto mądry? Ażeby zyskiwał z głupich. A Krzesław to bardzo mądry jest człowiek. Nawet mi nie wstyd, żem mu się dał chwycić. On już nie takich pochwytał! — Nikt się tak prędko nie pociesza po stratach, jak żydzi — a za nimi ci, którzy poszli w ich ślady. Więc i Nowicki, nietylko że się uspokoił, ale i dostąpił nareszcie w ogóle tego spokoju, którego od dawna już pragnął. Przymurował do swego domu parę pokoi, umeblował je w adamaszki, pozaprowadzał lampy, miał lokaja w liberyi, jeździł powozem, jadał już nie o dwunastej tylko o drugiej — a nawet już kolacyę skasował, i pijał natomiast herbatę. Czytywał przytem gazety i xiążki, palił lulkę z długiego cybucha z nowym zupełnie bursztynem, i nosił czapkę z kutasem. I był zupełnie szczęśliwym.... tak nawet szczęśliwym, że tego szczęścia zazdrościli mu wszyscy sąsiedzi. Tylko jeden pan Michał, acz mu jego szczęścia nie przeczył, dodawał wszakże złośliwie i nadzwyczajnie niegrzecznie:

— Szczęśliwy — błazen!

Tak zastał go Krzesław. Bardzo się jego przyjazdem ucieszył Nowicki i zaraz admirował jego ekwipaż, i pytał: — A co to kosztuje? — Poczem go oprowadzał po swoich salonach, każdy dywan dawał mu w rękę, mówiąc: — Ale weź-no pan to do ręki, jakie to grube a jakie miękkie: to bardzo dużo kosztuje. A potem mu opowiadał, jak on teraz żyje. Każden z takich dorobkiewiczów, dopóki się majątku dorabia, jest co najmniej arcy-nudną figurą, często występną a czasem zbrodniczą; ale kiedy już skończy swoją karyerę, jest już tylko śmiesznym i musi być śmiesznym koniecznie. Tak opowiadał Krzesławowi Nowicki:

— Nu! jak ja teraz żyję! Wstaję dopiero o siódmej i piję kawę a moje córeczki mi spiewają i grają, a mnie się zdaje, że ja jestem w niebie. Muzyka i spiew, proszę pana, to bardzo piękne są sztuki. A potem czytam gazety: nu! to ja wiem, co się dzieje na całym świecie. A potem przechadzam się po ogrodzie; ale pan nie wie, ja teraz ogród zakładam, zaraz go panu pokażę. A potem jem sobie obiad; nu! ja mam teraz bardzo dobrego kucharza. Szkoda, żeś pan nie przyjechał na obiad. A po obiedzie spię na balzaku; to bardzo służy mojemu zdrowiu. A potem jadę moim

wiedeńskim powozem na spacer, albo przyjmuję gości. Nu! u mnie teraz dóm bardzo otwarty. Wszyscy bywają. Pan Hrabia X. bardzo często tu bywa.... mamy interesa ze sobą. I xiąże nawet był u mnie..... jechał do Hrabiego, nie wiedział drogi i tutaj zajechał. A potem wieczór piję herbatę i znowu mnie grają córeczki. Tak chwała Bogu wszystko jest dobrze, tylkom nie bardzo zdrów; na wiosnę trza będzie pojechać do Karlsbadu.....

Kiedy to mówił Nowicki, byli już obadwa w ogrodzie. Oczywiście, że to wszystko najmniej nie obchodziło Krzesława: on tylko wzdychał, on jeszcze nie skończył swojej karyery. Jakoż zamiast oglądać ogród, rzekł do Nowickiego:

— No, a cóż pan myślisz ze swojemi córkami?

— A cóż? trzeba je będzie powydawać za mąż.

— Ale dotychczas... jeszcze nikt się nie trafia?

— Dotychczas... tak dalece.... nikt jeszcze.

— A wiele pan myślisz dać każdej córce posagu?

— O! ja im dam bardzo piękne posagi. Dlaczego im nie dać? Przecie mnie na to stać. Ja im dam grube posagi — i zaraz gotowizną na rękę.

— A wiele? wiele? powiedz-no pan cyferkę.

— Nu, to jeszcze zależy od okoliczności. Jeżeli moja córka będzie szła za mąż pomiernie.... nu! to zawsze jej dam grubo, dam piętnaście tysięcy. A jeżeli lepiej, to dam i dwadzieścia.

— Co znaczy u pana pomiernie? a co lepiej?

— Pomiernie, to znaczy za młodego szlachcica, który jest na dorobku; a lepiej, to znaczy za takiego, który ma wieś.

— A zawsze za szlachcica?

— Nu zapewne. A czy każda z moich córek nie warta szlachcica?

— Dlaczego nie? I między szlachtą rozmaici są ludzie. Ale pan sam.... przecież nie jesteś szlachcicem.

— A jakto? Nowiccy są szlachta.

— To bez wątpienia. Nowiccy są szlachta i najzacniejsza, tylko pan od nich nie idziesz.

— Nu! moi rodzice byli ubodzy....

— To nic, że byli ubodzy; ale powiadają, że pański ojciec był kucharzem.

— A! chowaj Boże! mój ojciec trzymał....

— Trzymał potem arendę; — dokończył Krzesław. Wzdrachnął się na to jego dawny opiekun i rzekł trochę gniewliwie:

— A gdyby i tak! niech-by był i kucharzem! ale ja....

— Ale bo powiadają, że i pan byłeś kucharzem.

— Pfe! panie Krzesławie! do czego to wszystko prowadzi?

— To prowadzi do tego, że kiedy kto był kucharzem, to nie może mieć pretensyi wydawać córkę za szlachcica — a jeżeli szlachcic ją weźmie, to mu musi dobrze zapłacić.

— Nu! to ja płacę. Dam dwadzieścia tysięcy.

— No, to jeżeli pójdzie za takiego szlachcica, który ma wieś. A jeżeli-by szła za dobrego szlachcica, który ma nie wieś, ale majątek.

— Nu! to-bym się dał jeszcze pociągnąć....

— Ale cyfry, cyfry, mój panie Nowicki, bo to nie żart, to interes....

— Doprawdy to interes? — pytał opiekun, — masz pan kogoś do porajenia?

— Mam, i potom tutaj przyjechał.

— Hm! hm! — mruczał Nowicki, — ma majątek.... A wiele wart ten majątek?

— Sto tysięcy.

— Sto tysięcy.... hm! hm! a wiele długów?

— Nic, tak nic, Towarzystwo.

— Nu! i szparkassa?

— I szparkassa.... tylko pan nie nudź. Wieleż pan dasz?

— Nu, to ja jemu dam dwadzieścia pięć tysięcy! Tylko....

— Tylko się pan zaintabulujesz, to rzecz wiadoma. No, więc dwadzieścia pięć tysięcy obcemu i nieznanemu: a wiele pan dasz mnie?

— Panu? he, he, he! pan sobie żartuje...

— Mój panie! ja w interesach nigdy nie żartuję. Namyślaj się pan i prędko, bo szkoda czasu.

— Panu? hm! hm! panu? To ja-bym się bardzo cieszył... Ja pana wychował... Ja z rodzicami pańskiemi żyłem w przyjaźni... To-by mnie bardzo cieszyło. Nu! to ja dam panu dwadzieścia i pięć tysięcy!

— Idź pan do kata z takiem gadaniem! Hej! Jakóbie! zajeżdżaj!

— No! czekaj-że pan! Ou! jaki pan gorący! Czekaj pan, pogadamy.

— Co tu długo gadać! — rzekł niby niecierpliwie Krzesław, — przecież się znamy jak łyse konie. Pan możesz dać każdej córce po czterdzieście tysięcy, a jeszcze dla Jasia zostanie czterdzieście tysięcy i Plenna.

— Nu! a co dla mnie zostanie?

— Dla pana? a czegóż pan potrzebujesz? Powóz, szlafrok, czapkę z kutasem i gazety, można mieć i przy Jasiu. A potem, co tam! Dasz pan czterdzieście tysięcy, to dobrze, idziemy zaraz do Marysi: a nie, to bywaj pan zdrów.

— A jeszcze i do Marysi!

— Albo cóż za różnica pomiędzy niemi?

— Nu! Kasia starsza i trochę słabowita, a Marysia młodsza i zdrowa jak jabłko.

— To dlatego właśnie ja chcę Marysię. Wieleż pan dajesz, ale od razu; bo słowo panu daję, że ani dziesięciu minut nie czekam.

— No, wie pan co! żebyś pan wiedział, jak pragnę, ażeby mój dóm połączył się z domem pańskim, wie pan co! dam trzydzieście tysięcy.

— O! ba! czterdzieście albo nic.

— Ja nie dam.

*

— Wiesz pan co! — zawołał Krzesław, — ażebyś się na mnie nie skarżył... wezmę trzydzieście i sześć! ale to moje słowo ostatnie!

— Ja nie dam.

— Jakóbie! zajeżdżaj! Bądź pan zdrów, panie Nowicki.

— Zaczekaj pan! — zawołał Nowicki, — o sześć tysięcy przecież się nie rozejdziemy. Ou! jaka to twarda ta młodzież dzisiejsza! A proszę pana, a widziałeś pan teraz Marysię?

— Przecież dopiero co ją widziałem.

— Nu proszeż pana! nie piękna to jest dziewczyna? a jak ona gra, jak śpiewa, a jaka ona rozumna!

— Co mi tam z jej spiewu i gry i rozumu! ja tego nie potrzebuję! to głupstwa. Kończysz pan, czy nie?

— No, proszę pana... to bardzo wiele.

— Słuchaj pan! żebyś nie powiadał, żem twardy, masz! spuszczę ci jeszcze dwa tysiące.

— No! dobre za nadobne! To ja dwa podwyższę. Ale jeszcze dwa między nami. Wie pan co, dla nikogo-bym tego nie zrobił, ale czegóż-to ojciec nie zrobi dla dziecka? Przetnijmy te dwa na połowę!

— Niech tam pana... dawaj pan rękę! —

I uderzyli w jarmarczne ręce tak głośno, że aż wszystkie szyby się wstrzęsły. Za trzydzieście i trzy tysiące została sprzedaną Marysia. I poszli zaraz do Marysi, — i rozmówili się z nią, — i Marysia była kontenta. Biedna dziewczyna pamiętała te pare tygodni, kiedy Krzesław bawił w Plennej, i pamiętała je jeszcze do dziś dnia. I zdawało się jej, że i on ją jeszcze pamiętał. I podała mu rękę, z pięknym na twarzy rumieńcem. Marysia miała jeszcze rumieńce. Krzesław ich nie miał, bo mu je spaliła miedź, srebro i złoto... Ale zamiast rumieńców miał uśmiech na twarzy, uśmiech najnaturalniejszy pod słońcem: zrobił wcale niezły interes. I Nowicki się także uśmiechał: bo i on zrobił niezły interes. A tak uśmiechali się wszyscy do siebie — i tyle było ich szczęścia.

W miesiąc potem ożenił się Krzesław z panną Maryanną Nowicką i zaraz po ślubie wziął ją do Grodowisk. Musiał się spieszyć ze ślubem, bo nie miał czasu. Jakoż zaraz nazajutrz po ślubie wyjechał z domu, — nie było go tydzień, — a kiedy powrócił, rozeszła się wieść po okolicy, że Starodzięki zostały sprzedane publicznie, i kupił je Krzesław.

Wapnowskiego wszystkie omyliły nadzieje: nie był nawet przy licytacyi. Starodzięki zostały sprzedane poniżej wartości. Biednemu Stanisławowi mogło się z nich dostać ledwie kilkanaście tysięcy; lecz na to miał jeszcze długi niehipoteczne. Krzesławowi wydano zaraz przyznanie dziedzictwa — a Wapnowskim kazano do dni trzydziestu zrobić miejsce dla niego. Wypadek ten sprowadził na nieszczęśliwą rodzinę Wapnowskich niezgłębione zgryzoty, a tuż za niemi przyszły i nieszczęścia. Pani Stanisławowa, kiedy się dowiedziała o sprzedaży Starodziek, została tknięta paraliżem — i w kilka dni potem umarła. Silniejszym cokolwiek od niej był jej mąż, ale także nie mógł wytrzymać tego strasznego ciosu, i zapadł w nerwową gorączkę. Klotyldę tylko jej modlitwy i uproszone niemi miłosierdzie Boskie utrzymywało na nogach: ale i ją nie na długo. Kiedy bowiem w kilka dni po matki pogrzebie a wśród najtęższej choroby ojca przyszło im się wynosić, i ona także musiała położyć się w łóżko. Ale pomimo to wynieśli się z tego majątku w dzień oznaczony. Powiadano na zaletę Krzesława, iż chciał im pozwolić pałacu w Starodziękach aż do wyzdrowienia: ale kapitan, który tam wtedy był wszystkiem, tego dobrodziejstwa nie przyjął — i zabrawszy ojca i córkę, dobytki i sprzęty, zostawił resztę na pastwę nowo-nabywcy. Dokąd ich przeprowadził, nikt wtedy jeszcze nie wiedział i nikt o to nie pytał: ale my się jeszcze z nimi spotkamy w latach następnych.

Tymczasem Krzesław, dokonawszy tego wielkiego dzieła, znalazł się w trudnem położeniu. Kupił obszerny majątek, a nie miał go czem zapłacić. Ale od czegóż przemysł, i handel, i przedsiębiorczość? — Jakoż najmniej się tem frasował. Odebrawszy Starodzięki w posiadanie, natychmiast do Wrocławia wyjechał. Bawił tam dwa tygodnie — i wrócił. I przywiózł ze sobą dwie niby ludzkie figury, ale tak dziwne, jakich jeszcze nie widział nikt w Grodowiskach.

Obydwie te figury były męzkiego rodzaju. Więc jeden z nich był średniego wzrostu, barczysty, otyły, ze szpakowatą strzyżoną brodą a ogolonemi wąsami— i nazywał się *Herr von der Ecke;* a drugi był niski, także barczysty, z mocno garbatym nosem, poczwórnemi okulbaczonym okularami, lecz z rudą brodą a ogolonemi wąsami — i nazywał się *Herr Düsseldorfer*. Jakiego byli narodu, trudno było odgadnąć; ale kiedy ich było o to zapytać, to każdy z nich odpowiadał: — *Ich bin ein Proisse.*

Ci tedy obadwa panowie oglądali Grodowiska przez trzy dni, i oglądali je z wielką uwagą. Opatrywali budynki, lustrowali lasy, badali ziemię— i wszystko ganili. Wszystko było złe już z natury, a co się nie dało zganić zupełnie, to było zepsutem *durch die polnische Wirthschaft.* Rej wodził w tem wszystkiem *Herr Düsseldorfer*, a *Herr von der Ecke* tylko niemym był widzem. Ale i ten jeden nawymyślał się daleko więcej na Grodowiska, niżeli wszyscy Niemcy na całą Polskę. Zniecierpliwiło to nareszcie Krzesława — i przyparł ich silnie: a tak umilkli Prusacy i zamknęli się z nim w głownej sali pałacu. Daleko łatwiejszą miał z nimi sprawę, niżeli niegdyś z Nowickim: z tamtym się żarł przez tzzy dni a z tymi tylko przez dwa dni. Jakoż po dwóch dniach cały ten interes ukończył — i Grodowiska zostały sprzedane. Ile wziął za nie, co wziął i jak wziął, zostało to tajemnicą na zawsze....

Tak samo także, w zamkniętej sali i za niewiadome pieniądze, została sprzedana Polska na Sejmie Grodzieńskim. A jak tam nie obeszło się bez głośnej protestacyi, bez cichych łez i głębokiego lubo niemego

żalu; tak i tu także bez tego się nie obeszło. Albowiem nazajutrz rano, kiedy dawny dziedzic i obadwa nabywcy wyszli na ganek, ażeby świeżem odetchnąć powietrzem: gromadka chłopów się przybliżyła do ganku. Byli to sami stateczni gospodarze z Grodowiskich wiosek: przyszli, ażeby się widzieć z Krzesławem. Krzesław zestąpił ku nim ze wschodów i spytał: — Czy do mnie? czegóż żądacie?

A oni mu się pokłonili do ziemi i jeden z nich, co najstarszy i najpoważniejszy, tak mówił:

— Słyszeliśmy, że Wielmożny Pan swoją ojcowiznę sprzedajesz. Mówiąc Bogiem a prawdą, niema już dla nas od wielu lat dobrej doli pod waszemi rządami. Opiekunowi wasi srodze nas gnietli i odzierali; Wielmożny Pan jeszcze młody i niezaprawiony, toż i od was doznaliśmy niejednej przykrości. Ale my wam tego nie pamiętamy: a pamiętamy raczej: z jakiego idziecie rodu i jak nam było pod waszymi dziadami. Pradziad wasz, pan Kasztelan, który był strzelił.... do takiego ot! jakich tam dwóch stoi w ganku, i potem umarł, poczciwe było panisko. Żyli jeszcze do niedawna co go zapamiętali — i wszyscy go chwalili. Wasz dziad nieboszczyk, Panie świeć jego duszy! szpichrz nam założył, szkółkę zbudował i żył z nami jakby ze swoją własną rodziną. Ojciec wasz był surowy, słuchać go trzeba było piorunem, bo był i sam jako piorun: ale krzywdy od niego nikt tu nie doznał — a zapomogi niejeden. A matka wasza.... Wielmożny Panie! no to i nie ma co mówić! Była to pani święta: poodnawiała kościoły, wyposażyła na nowo szkołę, założyła warsztacik dla dziewcząt — a co się tu od niej chleba a leków a rozmaitej pociechy pomiędzy nasze chaty rozeszło, trudno i wypowiedzieć. Wszyscy to byli poczciwi paniska: wszyscy tam owo leżą pod tym kościółkiem. A wy, Wielmożny Panie! chcecie zaprzedać kości i prochy swych ojców? — Ej! panie nasz, a cóż też was znagla do tego? Jeśli wam ciężko dziś bez pańszczyzny, co też i może być, to przecie jeszcze zawsze żyją wasze gromady. Powiedzcie tylko: a pewnie wam pomożemy; przecie robić jest komu, a są też starsi, którzy potrafią nakazać. Jeśliż was długi przygniotły, ha! to źle, panie! Nie wiemy, ażali na to co pomożemy. Ale i w tem mogli-byśmy cokolwiek dopomódz. Są u nas gospodarze tacy, co mają gotowy grosz w skrzyni; są handlarze, są i furmani, a u każego coś się ta znajdzie. Kiedy-by o tem z nimi pogadać, to pewnie żaden wam nie poskąpi: bo i komuż pożyczyć, jeśli nie swemu? Więc rozmyślcie to sobie panie i bądźcie pewni, że jakośmy tu ongi ustrzegli waszego sieroctwa, tak i dziś ustrzeżemy waszego państwa. A zmiłujcie się i nie zaprzedawajcie nas jakimś tam pono zawłokom! Źle nam, to prawda, bieda się wciska przez drzwi i przez okna; ale i w biedzie nam lżej, kiedyśmy razem, jako od niepamięci bywało. Trzymaliśmy się siebie przez tyle wieków, toż i dziś się trzymajmy— a przecie Bóg nie będzie nam gniewny do końca. A tak was o to pokornie prosimy i zaręczamy, że wam radzi będziemy we wszystkiem.

Ale już było po czasie. Więc Krzesław im odpowiedział krótko i węzłowato:

— Dziękuję wam za wasze dobre chęci, ale z nich korzystać nie mogę. Grodowiska już są sprzedane. Zaczem bywajcie zdrowi i miejcie mnie w dobrej pamięci.

Wiadomością tą zacni ci gospodarze srodze się zasmucili, i kłaniali się, i już chcieli odchodzić. Ale tymczasem *Herr Düsseldorfer* zbliżył się do nich a za nim i *Herr von der Ecke*, a pierwszy z nich zawołał mocnym nosowym głosem:

— *Sliszisz ti klop, saczekee!*

Poczem obrócił się do Krzesława i spytał:

— *Nicht wahr, Herr von Schitowsky, diese Loite haben Abschied jenommen von Ihnen?*

Krzesław to przyznał a on rzekł:

— *Nun so will ich mich mit ihnen och een bischen besprechen.*

Poczem obrócił się do gromady i zapewne dlatego, ażeby się popisać z swoją polszczyzną, zaczął coś do nich szwargotać. Ale dobierał najrozmaitszych głosów, tak ludzkich jak i zwierzęcych, — napróżno! Ani jego chłopi nie rozumieli, ani on chłopów! Zaczem się obrócił do swego towarzysza i rzekł:

— *Een seir dummes Volk! nicht wahr Herr von der Ecke?*

— *Een seir dummes Volk!* — powtórzył towarzysz.

— *Das bischen Sprache abjerechnet, beinah' wie een Vieh! nicht wahr Herr von der Ecke?*

— *Ich meene, lieber Herr Düsseldorfer,* — odpowiedział złośliwie zacny towarzysz, — *die Sprache mitjerechnet, doch nur een Vieh!*

Zaczem pierwszy jeszcze się raz do Krzesława obrócił i rzekł:

— *Aber Sie können versichert seyn, Herr von Schitowsky, dass wird nicht also bleeben in Zukunft. Wenn wir hier die Regierung übernehmen, ho! ho! janz anders wird es hier seyn! In drei bis vier Jahren laden wir Sie ein uns zu besuchen, und Sie werden sich überzeugen. Denn es ist eenmal wahr: een jedes Geschäft broucht seenen Mann.*

Tak jakoś wcale nowa przyszłość otwierała się przed Grodowiską gromadą. Ale oni, jak zwyczajnie lud ciemny, wcale jej nie pojęli. Jakoż odchodząc, kiwali tylko głowami i mówili sobie:

— Że pan nas zaprzedał, bodaj-by sobie nieraz za to popłakał! I pewnie popłacze, bo już-by też chyba Boga nie było na niebie, gdyby nie karał tych, co takie piękne ojcowizny bez potrzeby sprzedają. Ale co tym zawłokom, to i my sami damy im radę. Żebyśmy mieli chodzić za robotą o milę, to tu nie pójdziemy. Niechaj tak skapią jak lód, kiedy go wrzucą do pieca!

W kilka dni potem Krzesław zaczął się do Starodzięk wynosić — a tutaj pozałatwiał jeszcze resztę swych interesów. Głównym z nich była licytacya na wszystkie niepotrzebne graty, którą sam się zajmował. Posprzedawane zostały natenczas wszystkie familijne portrety, kilka marmurowych biustów i kilkanaście gipsowych odlewów, posprowadzanych z wielkim zachodem przez jego ojca; sprzedano nawet najulubieńsze biórko jego nieboszczki matki, razem z tymi listami pisanemi przez jego dziada z Sybiru, które Dobiesław tam schował. Wtedy została także sprzedana owa szafa z familijnemi papiery, o której już wspomniano powyżej, a która dostarczyła nam treści do tej kroniki czasów dzisiejszych.

A na oczyszczonym w ten sposób placu rospoczęli nowi przybysze swe panowanie.... *(D. c. n.)*

PIOSNKA Z HEINEGO

(z pośmiertnych rękopisów **Felicyana Łobeskiego.**)

Na złotych nóżkach tam gwiazdki stąpają,
Lżej od tej chmurki, co górą przemknęła,
O bo się zbudzić ziemi obawiają,
Co właśnie na łonie nocy zasnęła.

Słuchają lasy, każde drzewo słucha,
Każdy listeczek to uszko zielone!
Góra! co widzę? czy olbrzyma ducha?
Czy jej w marzeniach ramiona wzniesione?

Cóż to tak lubo na mnie zawołało?
Jakież to echo powietrze przenika?
Byłoż me serce, co zakołatało?
Czy głos kochanki? czy tylko słowika?

Z ŻYCIA ROŚLIN.

II.

Pasożyty.

Ziemia, powietrze i woda, to pokarm dla roślin. Pęka ziarnko drobniutkie we wilgotnej ziemi, a w ziarnku jest już zarodek przyszłego życia. Jest już korzonek do wciągania płynnych pokarmów przeznaczony, jest już jeden lub para maleńkich listków, co zwolna w tysiące mają się rozwinąć.

I pieści, ogrzewa ziemia ziarnko w swojem łonie. Strzelają pierwsze listki i roślinka wzrasta w wysokie, okazałe drzewo, lub rozwija kwiecie przecudnej krasy.

Lecz są w świecie roślin niektóre, co niezdolne do wydobywania i przerabiania sobie pokarmu ziemskiego, zapuszczają korzenie w ciała innych i wysysają z nich życie. Są i między ludźmi wyrodki, którzy nie znają silnej miłości ku ziemi rodzinnej, boją się pracy, bo gnuśni wolą przeżuwać gotową już strawę.

Narody staczają boje między sobą i ciemiężą się nawzajem. I całe gromady roślin walczą rozpaczliwie, a wtedy leniwe hordy pasożytów wychodzą zwycięzko. Bo cóż może otwarte męztwo przeciwko podstępnej, powolnej a wytrwałej sile?

Pasożytom dobrą jest każda droga, co wiedzie do celu. Celem ich jest wydrzeć sąsiadowi siłę i życie, by tyć z jego szczątków bezpiecznie. Pogardą nacechowane i oplwane stoją pasożyty jako jedyni zbrodniarze pośród świata roślin. Czasem blade i wymokłe, lecz częściej stroją się w szaty przepyszne i wesoło im. Dopiero po śmierci wykrywa się podstępny charakter; po śmierci — czernieją.

Lecz sprawiedliwość najwyższa istnieje wszędzie. Pomimo zgubnego działania pasożytów wzrastają pokolenia silne. Bo mniej niż między ludźmi jest ich w świecie roślin.

Poznajmy nieliczny ten zastęp.

Na wiosnę lub w jesieni, kiedy liście z drzew popadały, widzieć można często u wierzchołka lipy nizki krzak o jasnozielonych, mięsistych, podłużnych i widłowato rozstawionych listkach. Rozwijają się na nim nieznaczne, mięsiste kwiatki, a wreszcie białe jagody, przysmak dla jemiołuch. Jestto *Jemioła**) (Viscum album L.) należąca do rodziny *gązewnikowatych* (*Loranthaceæ*).

Podobnie jak każdy pasożyt dziwne koleje przechodzi jemioła aby dostać się na gałęzie drzew. Oto krótka historya jej życia.

Jako białe niepozorne jagódki zrzuca z siebie matka jemioła ukochaną dziatwę, pociechę przyszłości. Przepada na wieki która spadnie na ziemię, bo nie umie sama przyrządzić sobie pokarmu. Ale trudno o to. Żrała jagódka opatrzona jest mięsem lipkiem, więc gdziebądź uczepi się na gałęzi. Inne atoli smutną drogę przebywać muszą nim się prawdopodobnie zdolają dostać na gałęź. Droga ta prowadzi przez wnętrze jemiołuchy! Lecz cóż to przeszkadza?

I oto jagódka już na drzewie. Wziąwszy do pomocy gnojne części któremi otoczona rozmiękcza korę drzewa, kiełkuje i puszcza korzonki aż pod skórę, aż w samo ciało.

Potem wzrasta sobie spokojna na karku wysokiego pana. A widać że już wielka siła chytrości jest w tych jagódkach, kiedy używają je podstępni ptasznicy do wyrabiania z nich lepu na ptaki.

Że zaś pasożyt ten z wielkimi panami najczęściej ma do czynienia, to stwierdza jego pańska dystynkcya. Pan Jemioła i pani Jemiolina rezydują sobie na osobnych drzewach. A gdy przyjdzie wiosna i zejść się raz wypadnie, używają wiatrów za ślubną karetę.

Zamiłowanie to do wielkich panów jest silne. Nietylko lipy, lecz wiązy, topole, buki i sosny muszą ją żywić szlachetnemi sokami swemi. Nierzadko się zaś trafia że

. . . . . i mchami brodaty
Dąb, włożywszy pięć wieków na swój kark garbaty

potrząsać musi wieńcem jemioły, ssącego wroga.

---

*) W naszem mieście można jej napotkać wiele po drzewach na Stryjskiem.

„Wierna jednak zwyczajowi pasożytów, opowiada o jemiole Müller *), nie pogardza i małymi gdy wielkich nie stanie. Podrużuje więc do wsi z pysznych pałaców lasu, i zaprasza się w goście u zamożnego chłopka na jabłonie i grusze. Połamana w członki, giętka i niepozorna przychodzi do swych dobrodziejów i znajduje łatwy wstęp u nich. Nizki krzak o stu członkach, prawdziwy symbol pochlebcy, widłowato rozstawiony, nie odznacza się szczególną pięknością, chcąc jakoby z umysłu okazać się słabym i spokojnym. Para podłużnych zielonych listeczków w nasadzie gałązek nie wykrywa jej charakteru. Lecz niedarmo przysłowie ptaszka po śpiewie poznaje. Gdyby jej dobrodzieje posiadali większą bystrość umysłu, toby mogli z niepozornych listeczków, z ich grubości i podpasłej mięsistości odgadnąć, jakiego przyjaciela sadowią sobie w koronę. Tymczasem nie postrzegają oni tego; a przyznać należy, że faworyt umie rzecz swą prowadzić. Podziela on radość i smutek, i jak długo tylko ma żyć z czego, rozwesela ciągłą zielonością wierzchołek pana. Gdy olbrzym dawno już liście swoje wiatrom oddać musiał, ów na dół spokojnie spogląda jak gdyby to była wieczna wiosna. Gdy burza szumi wierzchołkami, on podziela burzę, zgina się wraz z gałęziami korony, i skarzy się wraz z niemi“.

„Lecz nigdy się jeszcze śpiewak napowietrzny nie powierzył ramionom jemioły, chcąc sobie gniazdkiem osłodzić wiosnę życia. Obiera on chętniej wierzchołek pana, niż jego nikczemny cień, pasożyta. Ale pasożyt tak dobrze jak i pan poi się pieśnią śpiewaczą“.

Tak zieleniąc się po lasach i ogrodach zamieszkuje jemioła średnią Europę, unikając mrozów północy. Lecz by nie znano jej jako zły szeląg i z ust do ust nieszło podanie o niegodziwym jej charakterze, stroi jagody w różne sukienki. Na południu w niebieską (V. oxycedri), w czerwoną na oliwnych drzewach Palestyny (V. cruciatum), w żółtą na Jamaice (V. verticillatum) i w inne.

W dziecinnej wyobraźni na pół dzikich narodów miała jemioła jakieś mistyczne znaczenie. Jej tajemnicze wyrastanie na drzewach napawało je dziwnem poważaniem.

Starzy Gallowie uważali jemiołę jako dar niebios jeżeli wyrosła na świętym dębie. Z wielką uroczystością zrzynał ją Druida złotym sierpem, w białe szaty odziany. W białą płachtę zbierano gałązki jemioły i dzielono między obecnych. I były owe gałązki na przedziwny napój, który bronił od wszelkich jadów i niemocy. Dwa białe woły padały ofiarą owego obrzędu. — Znakomitą rolę gra jemioła w mytologii skandynawskiej.

Najulubieńszym synem *Odina*, wielkiego boga północy, był *Baldur*. Lecz przepowiednia idzie że Baldur zginie, a po zgonie jego ma runąć świat cały. Więc matka jego, bogini *Fryga*, co zna mowę źwierząt i roślin, jedzie odebrać przysięgę od drzew i wężów, od ognia i wody, i od przyrody wszelkiej, by nic nie było szkodą Baldurowi. I wyprawiali igrzyska *Azowie* rzucając bronią na syna Frygi, lecz broń mu szkodzić nie chciała. Cieszyło to bogów.

Ale był jeden między nimi imieniem *Loke*, którego udziałem były złość i chytrość. On zmieniony w kobietę dowiedział się od Frygi iż nie odebrała przysięgi od jemioły, bo roślina owa zda się jej nadto wątłą i niewinną.

Uradował się Loke w duszy. Poszedł, ustrugał strzałę z jemioły i podmówił ślepego *Hedura*, brata Baldurowego, żeby nań rzucił tą strzałą. Rzucił Hedur — a Baldur upadł nieżywy ns ziemię.

I wielki smutek ogarnął Azów. Serce *Nany*, niewiasty Baldurowej pękło od bolu. Loke oszalał. Ludzie i zwierzęta, drzewa i skały, wszystko płakało obfitemi łzami.

Tak więc dziryt z jemioły zagubił niegdyś bogów.

Jest jeszcze wiele innych pasożytów u nas. Chodźmy najprzód w konopie. Patrzmy tylko gdzie one mniejsze i mizerniejsze, a może nam się uda zdybać tłustego, bezlistnego niegodziwca, o brudno-żółtawej, krótkim białym włosem porosłej łodydze. Purpurowo-błękitna, niewielka jego korona kwiatowa trzyma się na żółtawej rurce. Od ziemi już dzieli się w rozłożyste ramiona.

Na pierwszy rzut oka widać w nim pasożyta. Opuchły, brudny, bez liści, w jaskrawe barwy stroi kwiat swój chytrze. Leniwy już od kolebki, nie może stanąć o własnej sile, lecz szuka zwolna sąsiadów, na którychby oprzeć się tylko wątłemi korzonkami. Cieniutkie to niteczki te korzonki, więc spokojni sąsiedzi podają ramię pomocne. Lecz po niedługim czasie zapuszcza pasożyt niteczki swoje w korzenie sąsiadów — aż do krwi. I niby dla urągowiska zaczyna sokami ich rosnąć w ciało i barwy, gdy tymczasem konopie nikną i marnieją.

Poznali się na nim ludzie i dali mu stósowną nazwę. Zwie się: *Zaraza gałęzista* (*Orobanche ramosa L.*) i tworzy osobną rodzinę *zarazowatych* (*orobancheæ*). Jundziłł zwie go *wilkiem zielonym* a Syreniusz *skazą*.

Lecz oto pokrzywa, krewniaczka konopi. Jakże skurczona i wybladła biedaczka! Niby cała i silna na pozór; lecz uważcie bliżej a zobaczycie jak inna roślina silnie ją objęła. O bladych, lekko zarumienionych kwiatuszkach pnie się do góry i ściska ją nitkowatą, białawą lub czerwonawą łodyżką. Czy to oznaką miłości tak wielkiej?

Lecz nie, miłość

. . . . tak bardzo nie zmienia;
Nie gasi jagód, nie mrozi spojrzenia,
Żałobą duszy czoła nie ubiera . . . .
(*S. Goszczyński.*)

jak u tej biednej pokrzywy.

Zobaczmy bliżej. Roślinka owa ma od miejsca do miejsca małe brodawki, któremi wpiła się silnie w łodygę pokrzywy i ssie z niej soki. Niby wąż boa krępuje silnemi pierścieniami piekącego nieprzyjaciela, który kurcząc się konwulsyjnie, Laokona mimowoli naśladować musi. Walka to zacięta, a niktby się nie spodział że słabiuchny na oko pasożyt zwycięży.

Niegdyś był on innym. Wychowała go wspólna matka ziemia. I brał od niej pokarm i w pracy cichej przerabiał go sobie. Lecz wnet sprzykrzyła mu się praca. Rzucił się na sąsiada i zaczął żyć kosztem jego życia. Wtedy wyrzekła go się ziemia. Usechł korzeń i kawałek łodygi nad ziemią, a teraz żyje reszta daleko od łona matki, i gro-

*) Das Buch der Pflanzenwelt. Dr. Karl Müller Leipzig 1857.

madami dusi często całe szeregi niebieskiego lnu, zabija chmiel, konopie i t. p.

Ten pasożyt zwie się: *Kanianka pospolita* (*Cuscuta europœa L.*) Spokrewniony on z powojami lecz tworzy osobną rodzinę *kaniankowatych* (*cuscuteœ*).

Wyliczymy tu jeszcze kilka naszych roślin pasożytnych.

I tak jedna z nich, *Korzeniówka* (*Monotropa hypopitis L.*) chowa się po cienistych lasach czepiając się korzeni drzew. *Łuskiewnik* (*Lathra squamaria L.*) po wilgotnych gajach na korzeniach leszczyny i grabów. Wreszcie wiele gatunków naszych z rodziny *Storczyków* (*Orchideœ*) żyje także pasożytnem życiem.

Ładne są bardzo prawie wszystkie storczyki nasze. Nikt by się nie spodziewał jakie ich życie. Łatwo się to jednak wykrywa po śmierci; wszystkie bowiem pasożytne rośliny przy zasuszeniu mniej więcej czernieją.

W większej sile i rozmaitości występują pasożyty pod tropikowem słońcem. Spokrewnione z jemiołą *Loranty,* w wielkich gromadach gnieżdżą się tu po drzewach lasów pierwotnych. A prześliczne biorą na się kwiaty.

Purpurowe i białe jak śnieg *Passyflory i Liany* stroją w girlandy i wieńce ciemną zieloność drzew, a pośród nich na pniach starych wytryskują storczyki. Oryginalnością i rozmaitością kształtów, przepychem i wytwornością barw celują nad wszystko. Nie są one właściwie pasożytami; usiadają bowiem tylko na pniach i gałęziach drzew nie żywiąc się ich sokami. — Pożywienie czerpią z wilgotnego powietrza pierwotnych lasów, gąbkowato zakończonemi powietrznemi korzeniami. Do nich to należy owa wonna *wanilia,* którą tak przepłacamy.

Podziwiać tu należy wielką moc przyrody! Wszak ona im pierwiastków do takich pysznych barw i wytwornej woni powietrzem tylko donosi!

Walkę roślin po pierwotnych lasach można by także dołączyć do życia pasożytnego. Walka to straszna, na zabój. Idzie tu o życie z jednej lub drugiej strony, bo nie ma miejsca gdzieby można wzrosnąć i żyć wolno. Szermierski, zacięty uścisk rozstrzyga bójkę rozpaczliwą.

Stoją dwa drzewa: jedno wysoko i prosto wyrosłe, a drugie o cienkich, długich korzeniach okręca się w około silnego przyjaciela. Żyją gdyby jedno, bo liści ich nawet rozeznać trudno. Powoli zrasta się ciało towarzysza w zupełne pierścienie. I znowu żyją nadal i kwitną razem. Lecz silne pierścienie zaciskają się zwolna przez korę, aż do wnętrza olbrzymiego przyjaciela i zabijają go.

Gdy już nieżywy porzucił jedną gałęź po drugiej i pruchnieć zaczyna, wtedy dopiero zabójca puszcza ze siebie liść bujny, i zadowolony opasuje pierścieniami trupa. Lecz niedługo trwa ów zbójecki tryumf. Szczątki olbrzyma rozpadają się coraz bardziej i kruszą się wreszcie do szczętu. A oto tworzliwy zbrodniarz chyli się słabo ku ziemi, głową opiera się o sąsiednie drzewa, i tak pochylony dogorywa pośród wilgotnej ciemności lasów.

Straszny to obraz lecz prawda tryska z niego. Oglądnijmy się. W koło chwytają nas pasożyty silnemi pierścieniami. Nie dozwólmy im dostać się aż do wnętrza. Rzućmy silnie ramionami, a opadną. I wytępmy naonczas zarodki dziatwy, aby nie wzrosła więcej!

Inaczej przyjdzie spróchnieć nam do szczętu. Niewieściemi jęki będziemy narzekać — i zamrzemy.

J. St.

Różności.

* W zeszłą środę dnia 30. Maja występowała po drugi raz w naszem mieście panna Helena Zawiszanka. Nie będziemy się unosić nad biegłością i wdziękiem odśpiewania kawatiny z opery „Cyrulik sewilski“. Jakkolwiek sztuka w ogóle, a tem i samem muzyka jednakie ma prawo obywatelstwa na całej ziemi, to przecież włoskie słowa i włoskie dźwięki nie przemówiły nam tak do serca, jak odśpiewany potem ustęp z opery: „Halka“ Moniuszki i „Kalina“ Komorowskiego. Pierwsze byłato cudowna tkanina z złotych i srebrnych włókien, które twórca gdzieś z naszych ludowych mazurków i krakowiaków wymotał. O ile wdzięczniej i cudowniej brzmiały nam te dźwięki z wyrazem i czuciem wielkiem przez pannę Zawiszankę wyśpiewane, świadczyły huczne oklaski. W „Kalinie“ doczytaliśmy się jeszcze więcej. Ta tęsknota i boleść Kaliny za chłopięciem co siadywał przy niej i kręcił piszczałki z wierzbiny wydała nam się czemś więcej. Słyszeliśmy w niej boleść i tęsknotę większą, jakąś narodową.... Śpiewaczka zakończyła ładną piosenką Troschla, a myśmy opuścili salę teatralną ze żalem, że nam już nie dźwięczy dłużej ów głos płynący z serca do serca.

— Pan Józef Baranowski, wynalazca sygnałów automatycznych, zastępujących na kolejach rządowych służbę rozstawioną po drodze dla ostrzegania o nadchodzących pociągach, otrzymał po długiem oczekiwaniu w Anglii dnia 23. Marca 1860 dozwolenie zrobienia doświadczeń na kolei „North London“, i takowe wybornie mu się powiodły. W pośród oczekiwania na próby swoich sygnałów, wynalazł maszynkę do kopiowania listów, niezbędną dla każdego domu handlowego, którą nazwał *Copiotype portatif.* ważącą zaledwie cztery funty angielskie, a kosztującą 5 do 6 szylingów. Sposób ten z układu swego tak jest prosty, że lada dziecko może odciskać kopie listów bez naruszenia czystości oryginału. Musi ten wynalazek mieć wszystkie warunki praktyczności, kiedy natychmiast jeden z negocyantów londyńskich p. Lund ofiarował wspólnictwo swoje do exploatacyi jego na wielką skalę.

Od redakcyi.

Z początkiem nowego kwartału, od Lipca, gdy się skończy powieść Zygmunta Kaczkowskiego, wychodzić będzie „KÓŁKO RODZINNE“ co tygodnia w trzech arkuszach. Czyniąc zadość wymaganiom czytelników naszych, zmienimy zewnętrzną postać dziennika. Powieść dawać będziemy co tygodnia w dwóch osobnych arkuszach formatu książki in 8vo. Przy końcu każdej powieści dodamy kartę tytułową i okładkę. Artykuły literackie mieścić się będą w osobnym arkuszu. Tym sposobem Abonenci „Kółka rodzinnego“ będą mieli z końcem roku SZEŚĆ TOMÓW POWIEŚCI w osobnych książkach, prócz tego 52 arkuszy artykułów literackich.

Mimoto cena prenumeraty nie podwyższa się.

Wydawcy i odpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* Z drukarni E. Winiarza.